

tygodnik lubuski nadodrże

ZIELONA GÓRA

30 I – 5 II 1990 R. ROK XXXIV 5 (717)

CENA 200 ZŁ



Kochany Panie Kuroń!

„Najbardziej patriotycznie byłoby, gdybym teraz umarł” — napisała do Ministra Pracy i Polityki Socjalnej 70-letnia prządka na emeryturze.

STR. 8

Absolwent na zasiłku

Nie było tajemnicą, że pracowity student zarobił więcej korzystając ze statusu żaka, niż jego starszy kolega magister inżynier zatrudniony w zakładzie przemysłowym. Przykładowo za malowanie hali fabrycznej, przez trzy miesiące, student mógł zarobić tyle, ile jego kolega z dyplomem przez cały rok. Czy tak będzie nadal?

STR. 8

Milicja po nowemu

Milicjantów jest za mało... WUSW w Zielonej Górze posiada 313 wolnych miejsc pracy. Brakuje dyżurnych, konwojentów, posterunkowych, funkcjonariuszy ruchu drogowego... Potrzebni są zwyczajni milicjanci do codziennej służby, mającej chronić społeczeństwo przed kradzieżami i bandytyzmem...

STR. 9

DRODZY CZYTELNICY!

Redakcja i Wydawnictwo z przykrością zawiadamiają, że ze względów ekonomicznych zmuszone są na najbliższy okres zawiesić ukazywanie się NADODRZA.

Wydawanie pisma o charakterze społeczno-kulturalnym jest dzisiaj niemożliwe bez pomocy finansowej z zewnątrz. Obecnie trwają rozmowy z ewentualnymi sponsorami. Po — miejmy nadzieję — pomyślnym zakończeniu negocjacji, pismo będzie mogło wznowić swoją działalność już w innej formule.

Jesteśmy przekonani, że po kilku tygodniach spotkamy się znowu z naszymi Czytelnikami.

Kto jest u siebie w domu

Wszystko zaczyna się od nowa. Pano wie po sześćdziesiątce startują od zera, z białym zeszytem, terminują wreszcie na swoim. Debiutują po raz drugi z entuzjazmem młodzieńczych objawień.

STR. 16

Rozrywki umysłowe...

...nagrody ufundował oddział PLL „LOT” w Zielonej Górze.

STR. 16

z regionu...

NIEPOKÓJ O PRZYSZŁOŚĆ towarzyszył środowiskowemu spotkaniu związków z woj. zielonogórskiego, gorzowskiego i szczecińskiego, zrzeszonych w Federacji Pracowników Przemysłu Lekkiego, jakie odbyło się w Zielonej Górze. Nowa sytuacja gospodarcza stawia licznych pracowników tego przemysłu w trudnym położeniu. W wielu zakładach produkcji brakuje pieniędzy na wypłaty, a wysokie oprocentowanie kredytów wpędza je w jeszcze większe kłopoty. Ludzie obawiają się bezrobocia. W wielu rodzinach narasta strach przed przyszłością. Związki zawodowe nie mogą tego nie dostrzegać. W związku ze zbliżającym się III Krajowym Zjazdem Federacji wiele uwagi poświęcono przygotowaniom do niego, zmianom w statucie i programie oraz konieczności opracowania nowych koncepcji organizacyjnych związków.

ZJAZDY NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” odbyły się w Gorzowie i Zielonej Górze. „Solidarność” w Gorzowskim zrzesza ok. 20 tys. członków skupionych w 267 organizacjach zakładowych. W dyskusji na Zjeździe m.in. podkreślano, że w obecnych warunkach „S” musi stabilizować rodzając się nowy ustrój, przezwyciężać interesy grupowe oraz wykorzystywać energię związkowców do poprawy stanu gospodarki, środowiska naturalnego, oświaty, służby zdrowia. Zakładowe komisje związków nie powinny być finansowane ze środków zakładów pracy, winny one zarazem — broniąc minimum utrzymania ludzi pracy — przeciwstawiać się polityce „równych żądań”. Związek winien także przeciwstawiać się pogarszaniu warunków pracy w zakładach. No wym przewodniczącym Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” w Gorzowie został Andrzej Radliński.

W Zjeździe NSZZ „Solidarność” w Zielonej Górze uczestniczyło 128 delegatów reprezentujących blisko 35 tysięczną organizację związkową. Przewodniczący Zarządu Regionu Kazimierz Drozd w rozmowie z dziennikarzami PAP stwierdził m.in. że dotychczas powstało w woj. zielonogórskim blisko 290 związkowych komisji zakładowych. Związek aktywnie włączył się do minionych wyborów, inicjował i wspierał ruch komitetów obywatelskich, podejmując się licznych interwencji. Obecnie związek będzie musiał znaleźć się w nowej sytuacji gospodarczej: pośród nacisków płacowych, zmian w gospodarce i związanego z nim grożącego bezrobocia. Wybory nowego przewodniczącego ZR odbędą się w II turze Zjazdu.

POGLEBIA SIĘ NĘDZA. Z miesiąca na miesiąc rośnie liczba mieszkańców województwa zielonogórskiego, oczekujących na pomoc społeczną. Tuż po urykowieniu gospodarki instytucje i organizacje charytatywne zarejestrowały 10.017 osób, które nie radziły sobie bez pomocy społecznej. Kiedys wśród korzystających z pomocy byli głównie emeryci i renciści. Teraz zaczynają dominować rodziny, których dochody nie wystarczają na pokrycie opłat za przedszkole, żłobek czy korzysta-

nie dzieci z wyżywienia w szkole.

NIEKOCHANE KREDYTY. Jak Polska długa i szeroka przedstawiciele wszystkich podmiotów gospodarczych narzekają na obowiązujące od początku br. przepisy dotyczące kredytów. Najpowszechniej korzysta się z kredytów wykorzystywanych przez przedsiębiorstwa na bieżące potrzeby. Przypomnijmy, że kredyty są oprocentowane w wysokości 40 proc. w skali miesiąca. Jest nadzieja, że oprocentowanie to w następnych miesiącach będzie maleć, w miarę, jak maleć będzie inflacja.

STRAJK TAKSÓWKARZY. Tydzień temu na ulicach wielu miast woj. zielonogórskiego pojawiły się taksówki z chorągiewkami i wstążeczkami o barwach na rodowych. Powód protestu był już jednak mniej patriotyczny: intencją protestu była obrona subiektywnych interesów zawodowych taksówkarzy. Protestujący domagali się m.in. ograniczenia przyznawania koncesji, ustalenia limitów taksówek w poszczególnych miastach oraz pozbawienia możliwości świadczenia usług przez osoby, dla których taksówka jest dodatkowym miejscem pracy. O motywach protestu poinformowano wojewodę, Sejm, Senat i Radę Ministrów. Pasażerowie drożych taksówek odnieśli się do protestu bardziej obojętnie.

FERIE ZIMOWE nie zapowiadają się w tym roku zbyt atrakcyjnie. Wielu uczniów zielonogórskich szkół pozostanie w tym czasie w mieście. Tym bardziej przy klasnąć należy inicjatywie Domu Harcerza, ZOK-u i SDK „Nowita”, które organizują zimowisko dochodzące (DH), odpłatne półkolonie dla dzieci (ZOK) imprezy sportowe (SDK „Nowita”).

WYSTAWA W „MROWISKU”. W działającej tu „Galerii Jednego Miesiąca” prezentowane były prace członków Sekcji Plastyki Amatorskiej LTK. Pokazano 28 prac wykonanych w różnych technikach: akwarela, rysunek piórkami, tempera. Ich autorami są m.in. Bolesława Siderska, Kazimierz Dziadosz, Henryk Kawała, Agnieszka Januszewicz.

WROCŁAWSKA PANTONIMA wystąpiła w Zielonej Górze z przedstawieniem „Króla Siedmiogrodowego” według scenariusza i w choreografii Henryka Tomaszewskiego, z muzyką Rafała Augustyna i scenografią Kazimierza Wiśniaka. Autor scenariusza inspirował zaczerpnął z tragikomedii Jeana Costeau pt. „Bachus”, której treść osnuta jest na starym bizantyjskim obyczaju.

WSPÓLPRACA Z EWG. W woj. gorzowskim wytypowano 5 szkół ponadpodstawowych, które mogą skorzystać z pomocy EWG w podnoszeniu kwalifikacji zawodowych. Całe klasy uczęszczać mają na koszt wspólnoty przez pół roku do szkół o podobnym profilu w krajach zachodnich i odbywać tam praktyki zawodowe. Póki co uczniowie muszą się uczyć języków obcych, a ostateczną decyzję o tym, która klasa z której szkoły skorzysta na początek z oferty EWG podejmie ostatecznie Ministerstwo Edukacji Narodowej.

GORZOWSKIE TOWARZYSTWO FOTOGRAFICZNE już po raz 35 zaprezentowało na dorocz-

Być albo nie być - o sytuacji w kulturze

List otwarty do Wojewody Zielonogórskiego
Zbyszka Piwońskiego

Z zaniepokojeniem zapoznaliśmy się z informacją Pana Wojewody zawartą w wywiadzie udzielonym „Nadodrz” (nr 2, 1990 r.), a dotyczącą między innymi przyszłości społecznych ognisk artystycznych.

Wyraźnie pobrzmiwa w niej chęć ratowania placówek niejednokrotnie pozornego upowszechniania kultury kosztem sieci społecznych jednostek nauczania muzyki. Charakter dydaktyczny funkcjonowania naszych ognisk, jego kadra, doświadczenia i tradycje naszego Towarzystwa w tym zakresie, mają się nijak do funkcjonowania domów kultury.

Jedynym elementem organizacyjnie wiążącym oba rodzaje placówek upowszechniania kultury jest udostępnianie, tylko w niektórych przypadkach, pomieszczeń przez te ostatnie, w wielu sytuacjach pomieszczeń zupełnie nie wykorzystanych i z brakiem perspektywy właściwego ich zagospodarowania.

Problemem trapiącym nasze Towarzystwo jest pilna potrzeba równoprawnego traktowania przez administrację państwową naszych placówek w zakresie mecenatu finansowego Państwa nad placówkami kultury w ogóle.

Jesteśmy przekonani, że ogromne nakłady finansowe rodziców, świadczone na rzecz wprowadzenia dzieci w świat muzyki, w świat kultury, sprawią, że w myśl zasady: „damy pieniądze tam, gdzie już coś zostało dane, poprzemy te formy, które mają rzeczywistą akceptację społeczną”, stosowni przedstawiciele władzy państwowej na naszym terenie skierują posiadane przez siebie środki finansowe we właściwe miejsca.

Wierzymy, że pozorne działania w sferze kultury nie zdominują najbliższego czasu. Deklarujemy swoją gotowość do wspólnego namysłu nad ochroną ognisk artystycznych przed skutkami okresu przejściowego, jaki przeżywa obecnie nasze Państwo.

W imieniu Prezydium Lubuskiego Towarzystwa Muzycznego
im. H. Wieniawskiego
Jerzy Szynder — prezes
Zielona Góra, 17 stycznia 1990 roku.

Dom przyjaźni

Jak zagospodarować okazały budynek Zarządu Wojewódzkiego TPPR w Zielonej Górze? Oto podczas spotkania członków Oddziału Polskiego Towarzystwa Przyjaciół ONZ z wojewodą zielonogórskim zrodził się pomysł, ażeby w gmachu TPPR powstał Dom Przyjaźni Narodów, w którym mogliby spotykać się członkowie działających w mieście towarzystw przyjaźni: TPPR, Polskiego Towarzystwa Przyjaciół ONZ, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej, Polsko-Austriackiej, Polsko-Francuskiej, Polsko-Indyjskiej i innych oraz środowisk twórczych np. Związku Literatów Polskich, Stowarzyszenia Autorów Polskich. Pomysł wydaje się być godny realizacji. Znam z autopsji co dzienną działalność takich domów w Związku Radzieckim. Prosperują zupełnie nieźle.

W takim Domu wystarczą zapewne do obsługi dwie osoby — gospodarz i pracownica sekretariatu. W dobie jakże trudnej sytuacji dla wielu towarzystw społecznych (brak dotacji ze strony państwa), taka formuła aktywności społecznej Zielonogórzan wydaje się być pożądaną.

Od lat już trwa dyskusja na ten temat. I póki co projekt pozostaje w sferze li tylko ożywionych rozmów. Wojewoda „kupił” pomysł i obiecał go rozpatrzyć od strony prawnej i finansowej. Twórcy, działacze towarzystw przyjaźni marzą przecież o godnym miejscu spotkań z odbiorcami. Kultura lokalna nie może być skazana na podziemie, nie można też jej unicestwić, nawet przy poważnym braku środków finansowych.

ANDRZEJ BRZOZA

nej wystawie dorobek twórczy swych członków. Pokazano 170 fotogramów 19 autorów. Jury, którego przewodniczył artysta fotograf Jerzy Lewczyński przyznało nagrody główne trzem zestawom: I otrzymał Marian Łazarski za zestaw „Karkonosze”, II Jarosław Biernacki za zestaw „Papuasi”, III Leonard Olechnowicz za „Melancholie”. Ponadto nagrody otrzymali: Mirosław Grąbowski — za portret („Spojrzenie”) i za fotografię architektury; Piotr Perczyński im. Konstantego Ludwi-

kowskiego — za pejzaż („Łąka”); Andrzej Miłosz — za reportaż fotograficzny („Matko nasza”). Nowością jest wprowadzenie premii za temat satyryczny w fotografii, którą wyróżniono Mariana Łazarskiego (zestaw „Urynkowanie”).

ZNACZASU. W ub. roku gorzowski „Stilon” wydał na każdego pracownika po 20 tys. zł miesięcznie na cele socjalne i kulturalne. W tym roku sytuacja jest inna i ten największy na Ziemi Lubuskiej potentat przemysłowy ogłosił zamiar zwolnienia z pracy aż 400 pracowników.

Pierwsze spontaniczne powroty z Rzeszy przypadły na okres tworzenia załączków polskiej władzy na terenach Polsce przydzielonych (formalnie ich status określiła Konferencja Poczdamska w lipcu-sierpniu 1945 r.), później docierały tu już, tak z Zachodu, jak i ze Wschodu, zorganizowane transporty, kierowane najczęściej do placówek Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Niezależnie od tego nurtu samorzutnie napływała ludność z rejonów centralnych, a w wydzielonej strefie przygranicznego osadnictwa wojskowego, podzielonej na pięć obwodów, władze wojskowe lokowały rodziny byłych żołnierzy i członków lewicowego ruchu oporu. Od września 1945 r. całością akcji zorganizowanego osadnictwa cywilnego i wojskowego kierowały już agendy PUR, ponosząc główny ciężar tworzenia punktów etapowych, organizowania transportu kolejowego, miejsc noclegowych, stołówek, punktów medycznych, wreszcie środków transportu w miejscowościach docelowych. A pamiętać trzeba, iż działało się to wszystko w okresie intensywnego wysiedlania ludności niemieckiej do radzieckiej strefy okupacyjnej Niemiec.

Zaiste niezwykle, dramatyczne i skomplikowane były drogi wiodące tysiące tułaczy do nieznanym sobie miejsc przeznaczenia. Wielu z nich, szczególnie tych powracających z Zachodu, traktowało pobyt na Ziemiach Odzyskanych jako czas chwilowego wytchnienia przed powrotem w rodzinne strony; inni zostali rzućni tu przypadkowo, np. przez pomyłki w transportach lub w poszukiwaniu członków własnych rodzin. Jeszcze inni przybywali nań z pobudek patriotycznych, poczucia obywatelskiego lub zawodowego obowiązku. Repatriantom ze Wschodu los nie pozostał żadnej innej alternatywy. Wszystkich ich łączył wspólnie przeżyty los dziejowy, świadomość narodowej gehenny. Ten ogólnonarodowy exodus tylko nie licznym spełnił się bezboleśnie.

23 grudnia 1945 r. zmarł w lubskim szpitalu, przywieziony tam prosto z transportu kolejowego, 46-letni repatriant Kazimierz Kwiecień. Kilka miesięcy wcześniej także w szpitalu zmarła na katar kiszek czteromiesięczna Łucja Pawłowska i jednomiesięczna Marysia Wilczek, których rodzice wracali z Niemiec przez Lubsko na Górny Śląsk. Podobną tragedię przeżyła powracająca z przymusowych robót do kraju rodzina Robaków: ich ciężko chory 2,5-letni synek Mikołaj nie wytrzymał trudów podróży i zmarł z wyczerpania ostatniego dnia pobytu na obcej ziemi — w niemieckim Forście. Tam też został pochowany. Po jakimś czasie zamieszkali w Lubsku rodzice, daremnie poszukiwali w Forście jakichkolwiek śladów dziecięcej mogiłki. W ogóle śmiertelność wśród dzieci do lat 15 była w okresie pierwszych kilku miesięcy zatrważająca: do końca 1945 r. stanowiła ona w Lubsku ok. 70 proc. wszystkich zgonów Polaków, a przyjąć można, iż podobne tendencje utrzymywały się w skali całego zasiedlanego obszaru.

Ogromnie dużo ludzi umierało w transportach kolejowych. I to przede wszystkim tych starszych wiekiem. Po wodem były choroby, głód, niskie temperatury atmosferyczne. Rodzina Stefani Zamłyńskiej z Roztoków koło Jasienia przybyła w te okolice w grupie repatriantów spod Tarnopola w połowie grudnia 1945 r. Po kilkunastu dniach podróży w krytych wagonach towarowych, od granicy polskiej jechali w odkrytych platformach, wyczekując na mro-

głąb ZSRR. Rodzina Jana Antonowa, zamieszkała dzisiaj w Bożkowie koło Kłodzka, od stycznia 1940 r. zaznawała nieszczęśliwej ludzkiej zsyłki z woj. stanisławowskiego za Ural, by po latach ciężkiej pracy w tajdze, gdzie nie oszczędzały jej śmierć, głód i choroby, rozpocząć wielomiesięczną, okrutną, często przerywaną wędrówkę, jak się później okazało — na Dolny Śląsk, w warunkach gorszych bodaj niż wyżej opisane. Widmo śmierci głodowej opuszczało ją dopiero w Krakowie,

przez Niemców ruin. Ci, którzy to przeszli, wspominają, iż często ciszą nocną przerywały wybuchy rozrywających się min, dobiegające z opustoszałych domostw. To myślenie w nich szabrownicy płacili najwyższą cenę zawodowego ryzyka. Jeden z nich uratował być może życie małej 6-letniej dziewczynce, która w poszukiwaniu dziecięcych skarbów uwolniła się tuż przed zmrokiem spod kurateli dorosłych i weszła w zabudowania. Napotkany szabrownik bez żenady przegonił domorosłą „konkurentkę”, a zaraz potem, z miejsca w którym zniknął jej z oczu, dobiegł ją potężny odgłos wybuchu. Reszty mogła się tylko domyślać...

Z Forstu do Lubska poszczególne rodziny docierały indywidualnie. Te z małymi dziećmi mogły liczyć na wojskowe samochody i furmanki, inne szły pieszo, ciągnąc za sobą zdobyte wózki i wozy z nędznym dobytkiem. W ten sposób w mieście znalazły się m.in. rodziny Siemionowów, Robaków, Szefflerów, Teliców, Andrzej Bednarek, Helena Gromek, Franciszek Koper wraz z żoną Leokadią, pozostająca akurat „przy nadziei”, i dwójką dzieci przyjechał do Lubska wozem zaprzężonym w konia zdobytego od Rosjan za alkohol. To już był szczyt przedsiębiorczości. Ci, w tym także osadnicy z Polski centralnej, którzy ostatni etap wędrówki pokonywali pieszo, docierali do miasta nierzadko w stanie skrajnego wyczerpania. Tak było chociażby z Felicją Jasińską, która trzydziestokilometrową trasę z Krosna Odrz. pokonywała boso — z powodu pęcherzy na stopach.

Powracającym z Niemiec przychodziło doznać w pierwszym polskim mieście pierwszych rozczarowań. Oto dowiadywali się np. że ich rodzinna Warszawa praktycznie nie istnieje, że powrót na tereny zabużańskie nie jest już możliwy. Dwie dorosłe kobiety — matka i córka — gonione nostalgią, ciągnąc wózek z dobytkiem wyruszyły, pomimo ostrzeżeń, w drogę powrotną do swego ukochanego Stanisławowa. Polski żołnierz w Krośnie Odrz. długo musiał je przekonywać, że dotrzeć mogą co najwyżej do Przemyśla. Zawrócili.

Warunki lokalowe na ziemiach zachodnich były, szczególnie dla pierwszej fali osadników i repatriantów, takie, o jakich nie mogli często w swych rodzinnych stronach nawet zamarzyć. Gorzej bywało z żywnością. Ludzie przybywający tutaj w miesiącach letnich i wczesnojesiennych 1945 r. zastawali jeszcze w polu ziemniaki, buraki, marchew, w stodółkach nierzadko żyto, mąkę, mogli też uczestniczyć w zbiorach zbóż zasianych jeszcze przez rolników niemieckich. Transporty przybywające zimą 1945 lub na przednówku 1946 r., a więc w okresie największego natężenia akcji osiedleńczej, nie mogły już liczyć na indywidualne wyszukiwanie rezerw jakichkolwiek ziemniaków. W najgorszym położeniu były rodziny repatriantów z ZSRR, w zdecydowanej większości bardzo zubożone, nie przywożące ze sobą żadnych zapasów żywności. Organizowana pomoc

Ciąg dalszy na str. 4

EXODUS

WŁADYSŁAW MOCHOCKI

Przybywali do tej ziemi obiecanej ze wszystkich stron: wcześniej robotnicy przymusowi, później zaś repatrianci ze Wschodu, przesiedleńcy i kombinatorzy z terenów Polski centralnej, osadnicy wojskowi, reemigranci z Zachodu, wreszcie jeńcy i więźniowie hitlerowskich oflagów, stallagów i obozów koncentracyjnych, a najpóźniej i z największymi obawami, żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

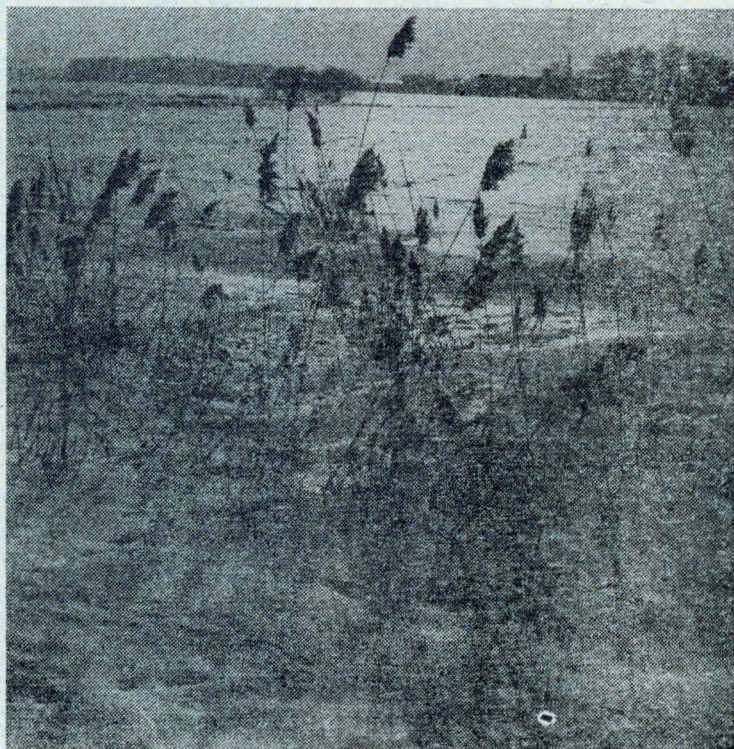


Foto. BRONISŁAW BUGIEL

zie i w śniegu, po tygodniu na bocznicach na możliwość podłączenia wagonów do składów kierowanych na zachód. Dotkliwy ziąb odbierał siły ludziom, a brak paszy dziesiątkował zwierzęta. Nie było prawie dnia bez pochówku. A z tego samego rejonu przyjeżdżały też grupy, które całą trwającą prawie miesiąc podróż odbywały w odkrytych węglarkach. Ludzie robili nad nimi prowizoryczne zadaszenia, modląc się do Boga o rychły kres ich udręki. Nierzadkie były przypadki, iż okres repatriacji wydłużał się nawet do 9 miesięcy.

Właśnie tak długo jechały spod Buczacza do Kumiałtowic koło Gubina rodziny Kasowskich, Sosnałów i Wysockich. Najokrutniej życie obeszło się z ludnością polską deportowaną wcześniej w

gdzie cały transport obdarowano paczkami żywnościowymi z UNRY.

Krótszą, zdawałoby się znośniejszą, drogę do kraju mieli powracający z Zachodu, chociaż, jak wspomina Natalia Dzwonek z Lubska, wśród tych, często byłych więźniów obozów zagłady, śmierć też zabierała obficie żniwo. Do granicy państwowej docierali różnie: koleją, samochodami wojskowymi, wozami konnymi, rzadziej pieszo. Tym, których kierowano przez Lubsko po drodze wypadał Forst i jego polska dziś część — Zasięki. Tam opiekę nad nimi przejmowały polskie oddziały wojskowe. Grupy powracające już w lipcu i sierpniu 1945 r. pierwszą noc na polskiej ziemi spędzały na głównej ulicy Zasięk, pod gołym niebem, w niesamowitej scenarii gęsto zaminowanych

EXODUS

Ciąg dalszy ze str. 3

PUR-u, wojska, administracji czy nielicznych jeszcze zakładów pracy, nie mogła zaspokoić pełni potrzeb, nie czynił tego również słabo jeszcze funkcjonujący handel prywatny. Na kartki żywnościowe zbyt często nie było pokrycia. Wiele ważyła więc pomoc sąsiedzka i własna operatywność.

Bolesław Mickiewicz i jego kolega z kościuszkowskiego Górzyna wyprawiali się co jakiś czas w wojskowych szynelach (byłym żołnierzom podróżowało się łatwiej) aż na rodzinną lubelszczyznę, przywożąc stamtąd pewne zapasy żywności. Niektórzy bliżej — do Wielkopolski. Helena Kostrzyńska z Zielonej Góry wspomina, iż cały tydzień w młynku od kawy mielilo się żyto na sobotni wypiek chleba dla siebie i współmieszkańców. Rozpowszechniły się różne formy handlu wymiennego i zapłaty za usługi (np. mleko od krowy za użyczenie konia do prac polowych w gospodarstwach rolniczych), które ratowały ludzi przed niechybnym głodem. Koszmar aprowizacyjny słabnąć zaczął dopiero po zagospodarowaniu zbiorów 1946 r.

Zatrważający był stan zdrowotny ludności napływającej. Odbijał on całe okrucieństwo hitlerowskiego systemu biologicznego unicestwienia narodu, stalinowskich metod jego wyniszczania, oraz wpływ ogólnych

uwarunkowań czasu wojny na zachwianie równowagi fizjologicznej organizmów ludzkich. Wśród dzieci i osób w wieku starszym powszechne były stany niedożywienia, skrajnego wyczerpania i awitaminozy osłabiające system immunologiczny i w konsekwencji ułatwiające szerzenie się epidemii chorób zakaźnych; wśród osób w wieku produkcyjnym choroby płuc, układu krążenia, schorzenia reumatyczne, awitaminoza pod różnymi postaciami, zanik mięśni, wreszcie różnego rodzaju kontuzje i urazy fizyczne doznałe wskutek przeżyć wojennych. Pierwszymi pacjentami kompleksu sanatoriów przeciwgruźliczych w Kowarach koło Jeleniej Góry zostali jeńcy i więźniowie powracający z hitlerowskich obozów, a także osiedlający się tam przez wzgląd na warunki klimatyczne reemigranci z krajów zachodnich i przesiedleńcy z Polski centralnej. Tam również już od 1945 r. kontrolą rentgenologiczną objęto wszystkich polskich osadników napływających do Kotliny Jeleniogórskiej. Wielu z nich zakwalifikowano do leczenia sanatoryjnego. Wszystkie szpitale na Ziemiach Zachodnich, które zdolano uruchomić w 1945 r., przepełnione były ciężkimi przypadkami, których leczenie, mimo pomocy personelu wojskowego i darów z UNRY, utrudniał brak kadr lekarskich, sprzętu medycznego i

leków. Zbyt dużo więc chorych — szczególnie dzieci — umierało w szpitalach; zbyt dużo także — głównie tych najstarszych — w domach.

Trzecim czynnikiem sprawiającym, iż życie osadników w nich nie przypominało w pierwszym okresie stereotypowych wyobrażeń z propagandowych sloganów, było ustawiczne niebezpieczeństwo zagrażające ich życiu i mieniu. Józef Kasowski z Kumiałowic koło Gubiny, po 270 dniach podróży na „lepszą ziemię”, już w niespełna trzy miesiące później znalazł na niej śmierć z rąk pijanych żołnierzy sowieckich, usiłujących zabrać mu konie. Ginęąc na oczach całej wsi, zdążającej kolumną do młyna w Mierkowie, zdołał jeszcze krzyknąć: „Matko Boska, a to za co?”. Józef Piechnik z Lubka swą niefrasobliwą podróż z żołnierzami radzieckimi do Krosna Odrz. również okupił własną śmiercią. Na Opolszczyźnie nie były wioski, które repatrianci ze Wschodu opuszczali w popłochu po zaciętych akcjach „pacyfikacyjnych” zdegenerowanych elementów z szeregów armii sowieckiej i niedobitków hitlerowskich. Był to problem wszystkich osadników od Elbląga po Rybnik, i w tej sferze, z wiadomych powodów, władze polskie nie były w stanie zapewnić im dostatecznego bezpieczeństwa. Do tego dochodziły gwałty, rozboje i kradzieże mienia, dokonywane przez przestępców sowieckich, polskich i niemieckich, którym uchodziło to najczęściej bezkarnie. Z czasem miała się dać we znaki działalność UB.

Do rzędu przeżyć stresujących, chociaż zgola już innego rodzaju,

ju, należały też z całą pewnością makabryczne odkrycia dokonywane w zasiedlanych mieszkaniach. We wspomnieniach Kazimierza Kowalewskiej z Gubiny wciąż odzywają w pamięci obrazy rozkładających się trupów niemieckich mieszkańców, którzy sfrustrowani pogromem swoich i wejściem oddziałów sowieckich często nie wytrzymywali psychicznie takiego napięcia. Stan ducha niemieckiej ludności cywilnej i jego konsekwencje, odnotowane także m.in. w Zielonej Górze, Gorzowie Wlkp., Świebodzinie i Lubsku, stanowiły ostatnią bodaj zbrodniczą reżimu hitlerowskiego — popełnioną tym razem na własnej nacji.

Odmienne dzisiaj spojrzenie na problematykę zasiedlania Ziemi Odzyskanych wymaga od nas oczyszczenia jej z apokryfów, po zostających reliktem okresu, który teraz zgodnie wszyscy potępia my w czambuł. Zbyt długo w propagandowych stereotypach to, co było jedynie wizją i ideałem, kreowano na rzeczywistość. Prawdą ujawnioną — budującą legendę, była niewątpliwie radość powrotów z hitlerowskich i stalinowskich miejsc kaźni i satysfakcja żołnierzy — zwycięzców z dokonanego dzieła; prawda utajoną — bo przecież miłom: rozpacz i poczucie krzywdy za wyrwane korzenie. I tym z Zachodu, i tym ze Wschodu, droga do celu znaczyła się przecież częściej sto mogiłami bliskich. Pierwsze to symbole zaślubin potomnych z ziemią praojców i pierwsze znaki wskrzeszonej polskiej tradycji nad Odrą i Nysą Łużycką. Złożony to więc problem i tak należy go postrzegać.

WŁADYSŁAW MOCHOCKI

TELEMORELE

Witaj opozycjo

Prezes Drawicz zachował się pryncypialnie. Ostatniemu zjazdowi, robotniczej i zjednoczonej, poświęcił tylko jedną godzinę czasu antenowego. I to pierwszego dnia obrad. Później relacje zaprezentowane zostaną wyłącznie na zasadzie bieżących wiadomości agencyjnych. W ten sposób telewizja wystąpi w roli młotkowego. Wbił ostatni gwóźdź w trumnę byłej władczyni, byłej PRL.

Decyzja kierownictwa radiokomiteu wywołała oburzenie towarzyszy partyjnych. Interpretują ją jako kolejny dowód zaprzeczenia umów „okrągłego stołu” oraz lekceważenia polskiej lewicy. Niektórzy, bardziej radykalni, twierdzą nawet, że TVP znowu manipuluje opinią publiczną, ograniczając dostęp do pełnej informacji.

Przesadzają. Nawet bardzo. Widocznie nie mogą zrozumieć prostego faktu — 4 czerwca 1989 r. skończyła się cała epoka. Zwłaszcza dla lewicy w Polsce. Od tamtego dnia bieg historii przybrał nowy kurs. Kierunek zwany krótko i dobitnie, czyli prawicą.

Trudno więc dziwić się szefom telepatryzacji. Zjazdowi PZPR poświęca tyle czasu, na ile rzeczywiście zasługuje. Wystarczy przeanalizować ostatnie dane, podawane przez Centrum Badania Opinii Publicznej.

Procent deklarowanego zaufania do partii spadł na autentyczny margines. Jest tak niski, że gdyby już dziś zorganizować wybory do Sejmu i Senatu, to wątpliwe, czy liczba oddanych głosów osiągnęłaby pułap 5 procent. Są kraje, gdzie takie wyniki wyrzucają partię poza nawias życia parlamentarnego...

Dlatego też nie widzę powodu, aby się gniewać. Fakty są bezłitosne: lewica sama zapracowała na własną klęskę, doprowadzając kraj do stanu katastrofy gospodarczej. Doprowadziła do stanu otwartej nienawiści prawie całego społeczeństwa. I dziś, nawet po zmianie nazwy, statusu, programu i szefa, nadal dźwigać musi bagaż przeszłości. Wraz z XI zjazdem i kongresem założycielskim nie zostanie zapomniane. Dla Polaków lewica nadal będzie tym samym...

Dlatego też wewnętrzne kłótnie nie mają sensu. Zwalczają te wokół Rakowskiego. Nowa partia (z Rakowskim lub bez niego) spotka się z identycznym odbiorem społecznym. Rzecz jasna, negatywnym. I musi upłynąć dużo wody w Odrze, zanim wyrosnie pokolenie nie pamiętające starych grzechów. Taka jest cena za lata nonszalencji i totalitaryzmu.

Przyznam się szczerze, że długi czas optowałem przeciwko MFR. Nie z powodu jego poglądów, broń Boże, te od czasów czytania „Polityki” zawsze akceptowałem i popierałem. Bałem się jednak, że jego wybór na szefa nowej partii wykopie dodatkową przepaść między lewicą a społeczeństwem. Liberat Rakowski postrzegany jest bowiem — zupełnie bez sensu — jako twardogłowy beton post-stalinowski. Przydział czasu antenowego na relacje zjazdowe zniweczył wątpliwości. Telewizja dała jasno do zrozumienia — Solidarność nie obawia się lewicy.

Czy lewica obawia się Solidarności? Trudne pytanie. Wolę mówić tylko za siebie — tak. Ale tylko tej ochraniającej własną jedność za wszelką cenę. Stan taki można bowiem osiągnąć tylko poprzez stały alert ideowy. Myślę tu zwłaszcza o propagandowym ataku na żelaznego wilka, zagrażającego młodej de-

mokracji. Tym wilkiem będzie właśnie lewica. A im bardziej jedność Solidarności stanie pod znakiem zapytania, tym bardziej nasilą się ataki. Aż do stanu hysterii. Mówiąc wprost: boję się narodzin białego terroru.

Symptomy tego zjawiska widać już dziś. Z jednej strony wprowadzono do Konstytucji zapis o prawnym charakterze państwa, a z drugiej pojawiają się pomysły będące jego uzupełnieniem zaprzeczeniem. Jak inaczej można ocenić poselski projekt znacjonalizowania całego majątku PZPR? Przecież to jest, wypisz — wymaluj, powtórka z niechlubnych tradycji partii, tak dziś powszechnie krytykowanych. Tradycji, dodajmy otwarcie, ściśle rewolucyjnych. Bo tylko rewolucja ma głęboko w nosie poszanowanie prawa, demokracji i praw mniejszości politycznych.

Postawę rewolucyjną prezentują nie tylko postawie. Również dziennikarze marzą o gilotynie i ściętych głowach. Zwłaszcza ci, którzy dopiero ostatnio przyłączyli się do zwycięskiego obozu. Jeszcze kilka lat temu zupełnie dobrze funkcjonowali w upartyjnionym systemie informacji, zajmując się najczęściej tematami zastępczymi. Dziś jednak muszą udowodnić swoją bojowość. Wymagując więc mikrofonami i długopisami, wskazując winnych.

Propagandowa nagonka przeciwko lewicy jest w sensie intelektualnym dziełem zupełnie chybionym. To, po prostu, powrót do ulubionych tematów zastępczych. Grozi jednak bardzo poważnymi konsekwencjami. Utrwała bowiem odruchy antydemokratyczne oraz skłonność do symbolicznego myślenia. Pano wie dziennikarze zmienili sztandary, zachowując starą nonszalencję wobec podstawowego obowiązku każdego inteligenta — obowiązku dystansu wobec każdego przejawu śladnego reagowania.

22 stycznia 1990 r.

PIOTR MAKSYM CZAK

☆ „Oglądam co wtorek w telewizji, jak pan zapewnia, że pomoże najbiedniejszym. Tymczasem ja...” Tak właśnie zaczyna się co najchętniej listów adresowanych do „Wielmożnego Pana Ministra Pracy i Polityki Socjalnej” lub zwyczajnie „Pana Jacka Kurońa”.

Dużo tych listów, każdego dnia coraz więcej. W pierwszych dniach stycznia przychodziło ich każdego dnia co najmniej pięćset. I widać z nich straszną biedę.

☆ „Jako czternastoletniego chłopaka wywieziono mnie z matką do Kazachstanu. Ojciec, jako funkcjonariusz Policji Państwowej, został wzięty do niewoli i osadzony w Ostaszkowie. Po sześciu latach ciężkiej pracy, głodu, chłodu, zażenienia, powróciliśmy do kraju. Do dziś Matka renty po ojcu nie otrzymała, brak było dowodów, że zginął i nie ma ich do dziś”.

ży się pomoc. Ja jestem bez renty, bez pomocy”.

☆ „Chcę się uzależnić na moje nie szczęśliwe życie, a raczej już przebrane w całości. Jak to chłopcy, poszukiwaliśmy w lesie broni, ktoś doniósł do UB, dostaliśmy pięć lat, jako siedemnastolatek. W sumie odsiedziałem jedenaście i pół roku, pracowałem jako drwal po lasach. Rzekomo nie wypracowałem sobie renty. Nie mam prawej nogi, lewa w 60 proc. niesprawna. Dziesięć lat nie byłem na dworze. Mój świat to okno”.

☆ „Zwracam się do pana z prośbą o pomoc dla trzech starszych pań — siostr, niedołężnych, które żyją w strasznych warunkach mieszkaniowych. Proszę sobie wyobrazić: dziurawa komórka z przeciekającym dachem, bez ogrzewania, bez wody. Są zupełnie bezradne”.

☆ „Nasza sąsiadka, mająca 80 lat, przymiera głodem, bo rentę

to ja i tak z tego bym nie skorzystał. Zupa ta kosztuje 500 zł w PCK. Czy rząd musi to opłacać? Gdybym ja od władz otrzymał po 500 zł na siebie i żonę, to bym ja coś przeżył”.

Piszą również dzieci:

☆ „Mam 10 lat. Wychowuje mnie babcia, która wyszywa w noc serwetki, żebym uczyła się niemieckiego. Ale teraz mamy wielkie zmartwienie, bo zepsuł się telewizor i nie ma skąd wziąć pieniędzy na naprawę. Proszę nam pomóc, oddam kiedy tylko zacznę pracować”.

Jak inaczej brzmią epistoły różnych „Zyczeńiowych”:

☆ „Szpital Zakaźny Wojska 37 otrzymał dary zagraniczne i co się dzieje: zostały rozdzielone między personel! (Tu następują nazwiska z adnotacją „partyjny”). A czego tam nie było. I kożuszki, i garsonki... Proszę tego pisma nie trakto-

posłać do PCK za rogiem... uici, to dostanę coś do ubrania. Ale ja się ich wstydzę. Pana się nie wstydzę”.

☆ „Pracujemy z mężem na urzędniczych posadkach i próbujemy, wykierować na ludzi, ubrać i nakarmić dziesięcioro dzieci. Nigdy nikogo nie prosiłmy o pomoc do grudnia, kiedy rzeczywiście zaczęło być ciężko. Przyznali mi w zakładzie po długich korowodach 20 tysięcy”.

Niektórzy wręcz uważają, że im się należy. Przy czym kryteria ubóstwa określają na poziomie kuwejckim:

☆ „Uprzejmie proszę o udzielenie zapomogi w wysokości 8 milionów złotych na zakup pieca ceramicznego. Produkcja detali pomoże stanąć na nogi mnie i mojej córce. Zaznaczam, że pieniądze są nam niezbędne na poprawienie

Kochany Panie Kuroń! „Najbardziej patriotyczne byłoby gdybym teraz umarła”



☆ „Pobieram renty 86.370 zł i jestem inwalidką drugiej grupy, dorobić nie mogę, bo nie mogę pracować. Zimno, trzeba węgla, obuwia, odzieży, a to jest drogie. Żywność drożeje, a tu już mam 66 lat i człowiekowi zimno i trudno zaradzić”.

☆ „Pisałam do pana Jaruzelskiego, do Komitetu Centralnego to do stałam raz na dwa lata dziesięć tysięcy. Mam 95 lat. W czterdziestych latach byliśmy wywiezieni na Syberię, a za moją i męża pracę w Rosji (mąż tam zginął) nale-

rolniczą i kombatancką zabiera jej bratanek”.

Młodszy zdrowsi piszą listy w nieco innym tonie. Mniej w nich rezygnacji, dużo złości:

☆ „Mąż wrócił z pracy ledwie żywy, z pięciorga dzieci dwoje chorych. Trzeba kupić lekarstwa. Jest szesnasty, idą święta, a ja do końca roku mam 40 tysięcy. Pan powie, jak żyć? I niech pan nie mówi, że bieda to nie wstyd. Gorzej to świństwo”.

☆ „Dają biednym ludziom zapłatę, ale choćby dawali i schabowie,

wał jak «anonim» (podpis nieczytelny).

☆ „Ludzie są bezczelni. Sąsiadka ma pięcioro dzieci, dostają dary z parafii, zapomogi. Chodzą lepiej ubrani niż my, ucciuwi ludzie”.

☆ „Z. pracował krócej niż ja, gorzej zarabiał, ale opłi sprawę z naczelnikiem i ma emeryturę wyższą ode mnie”.

Wielu korespondentów, zwłaszcza starszych, spracowanych musiało, jak twierdzi, przełamać wstyd, żeby poprosić o pomoc.

☆ „Mówi mi sąsiadka, żebym

warunków mieszkalnych (mieszkamy w pseudowilli, która wymaga modernizacji”.

☆ „Muszę wymienić blachy w moim «Polonezie»”.

☆ „Może pan minister mojej córce w klasie maturalnej (najlepszej uczennicy) napisze prawdę. Zapropomuję rezygnację z nauki i pracę jako sprzątaczką. Walczyłam zawsze o wykształcenie młodzieży i doczekałam się, że nie mogę kształcić własnych dzieci. Mój ojciec poświęcił życie, żeby była Polska, żebyśmy godnie żyli. Dziś nie tylko zabrakło nam godności, ale żyjemy poniżej ubóstwa”. (Zaś dołączony wywiad środowiskowy stwierdza, że autorka listu i jej mąż pracują jako nauczyciele, otrzymując rentę. W cztery tygodnie mieszkaniu jest zestaw hi-fi, kolorowy telewizor, magnetowid, a w garażu dwa samochody).

Zaden spośród tych i innych listów do Ministerstwa Pracy i Polityki Socjalnej lub do ministra Kurońa nie zostanie bez odpowiedzi. Ale ich nawet powoduje, że czasami trzeba czekać na odpowiedź po dwa miesiące. Zwłaszcza, że specjaliści z Departamentów Spraw Socjalnych, Polityki Socjalnej, Zatrudnienia muszą przelać listy do odpowiednich wydziałów zdrowia i opieki społecznej, opiekunów terenowych, oddziałów ZUS, które na miejscu orientują się jak można pomóc. Nie są to bowiem tylko świadczenia pieniężne. Oto np. matka pisze, że nie może sobie poradzić z utrzymaniem dzieci, spośród których jedno jest chore na serce. Okazuje się, że ośrodek w Polanicy dysponuje wolnymi miejscami i mógłby to dziecko leczyć. Pani doktor Lubicz-Rudnicka chce zająć się bezpłatną rehabilitacją niemowląt z porażeniem mózgowym na Ursynowie, lecz potrzebny jej pokój.

Specjaliści z Ministerstwa oceniają, że już teraz pomoc potrzebna jest około 5 milionom ludzi. A będzie ich coraz więcej. Niestety, bieda obejmuje coraz szerzej emerytów, którzy pracowali po 30, 40 lat. „Najbardziej patriotycznie byłoby, gdybym teraz zmarła” — napisała 70-letnia prądką na emeryturze w liście pełnym gorczy.

BARBARA ŻMIJEWSKA

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

Dorota Muszyńska

Pielgrzym

ulotne pejzaże
wśród piasków pustyni
roztapiane w promieniach słońca
rozchodzące się w ciepłe
świat jakby niedokończony
pestki pozbawione ziarna
ziarna kielków
kielki listków
czerwieni brakuje koloru czerwonego
nie ma związku
przyczyny i skutku
przedmioty rozsypują się pod dotknięciem
i przy podmuchu powietrza
ustawione ręką nieobecnego człowieka
zatrzymana chwila
uchwycony moment
zawieszenie w czasie
oderwanie od przestrzeni

nie niczemu nie służy
nie jest podporządkowane
stanowi wartość samą w sobie
nie rozwija się nie dzieli

płatki owoce
mają wartość bycia
wystarczy im że są
nie ma ruchu pragnień

jest trwanie
odparte z niepotrzebnych dodatków i uwikłań
nagie istnienie

nie ma rozwoju i przemijania

wsluchanie się zjednoczenie
spoglądanie
w fenomen bycia
w zagadkę życia
przeгляд pozorów w niezmienną trwałość kosmosu

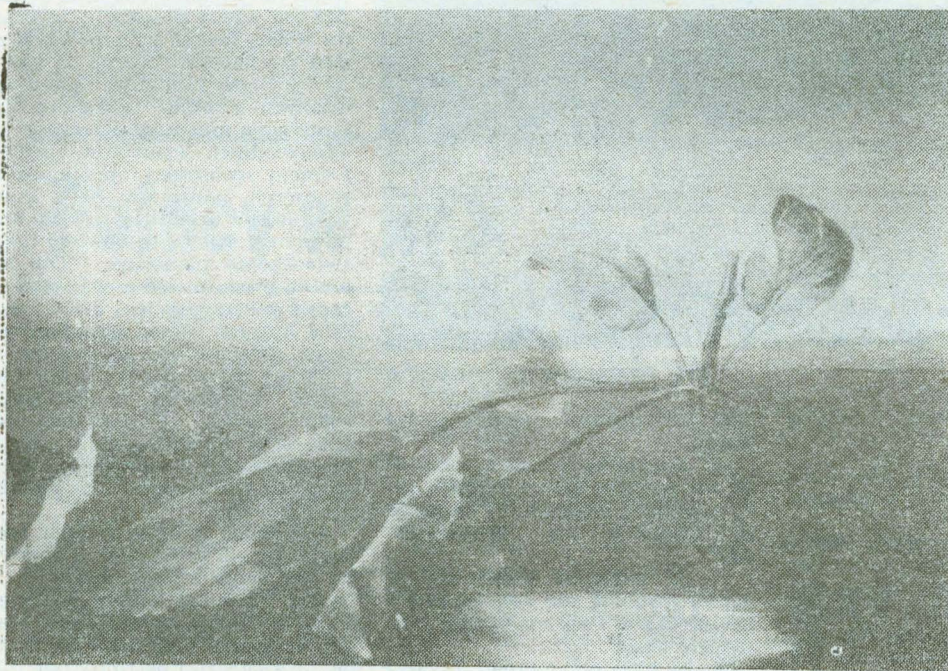
serce
jak w klatce żeber
myśli
jak psy bezpańskie
ciało nierzeczywiste
dusza w zaświatały ucieka



któ kocha
poezję dostrzeże
w ułomności
w przemijaniu
w cierpieniu
wśród słów drapieżnych
któ poezji potrzebuje
wykrzesze ją nawet z kamienia



w listkach
i lodygach
zamyka się kosmos
i jest w ich napięciu
odwieczna tęsknota



KAMILA MARCHELEK

Obraz olejny bez tytułu, z wystawy zorganizowanej w Muzeum Ziemi Lubuskiej

co sztuką jest
a co sztuką nie jest
co stanowi o istocie jej
lub o jej braku
bo nie rzemiosło opanowane
klimat niepowtarzalny
czyjeś zapotrzebowanie
sztuka jest w nas i poza nami
na chwilę na moment
a później jej nie ma
znika wraz z młodością
która przychodzi
wraz z starością
która odchodzi
zostaje w pragnieniu
i w oczarowaniu



Andrzej Maliński: — To nie tylko zawód. To także powołanie...

● Organista kościelny, to zawód raczej rzadki. Jak go się zdobywa? Czy są w Polsce szkoły kształcące organistów?

— Miałem szczęście jeszcze ukończyć Salezjańską Szkołę Organistów w Przemyślu w 1963 roku. Mówię — szczęście, ponieważ wkrótce potem została zlikwidowana.

● Dlaczego? Proszę opowiedzieć o tej szkole.

— Nauka trwała pięć lat. Program, poza muzyką i przedmiotami z nią związanymi, obejmował wszystko, czego wówczas uczono w liceach ogólnokształcących, włącznie z językiem rosyjskim. Za naukę płacono się wysokie czesne. Szkoła była samowystarczalna i państwo do niej nie dokładało. Mimo to nie podobała się władzom — taka szkoła, w której uczono muzyki kościelnej. Warunki miesiliśmy nadzwyczajne. Proszę sobie wyobrazić osiemdziesiąt fortepianów. Każdy uczeń miał instrument tylko dla siebie. Ciekawe, gdzie te fortepiany stoją teraz.

● A wykładowcy, czy byli zakonnikami?

— Tak. Byli to ojcowie Salezjanie. Wspominam ze wzruszeniem moich wspaniałych nauczycieli. Był wśród nich ojciec Idzi Mański, utalentowany kompozytor. Jego pieśni znajdują się w repertuarze wielu chórów, także na płytach i w nagraniach radiowych. Był zapalonym taternikiem. Przed paru laty spadł z Giewontu, gdy podczas wspinaczki sięgał po lekarstwo na serce. Śmiercią przepłacił swą pasję.

● Co robił Pan po ukończeniu Szkoły Salezjańskiej?

— Pracowałem w Poznaniu. Najpierw w kościele Kawalerów Maltańskich w parafii św. Jana na Komandorii, później w kościele św. Floriana na Jeżycach w największej parafii w Poznaniu. Równocześnie kończyłem średnią szkołę muzyczną w klasie organów, dyrygentury i pedagogiki.

● Jest Pan organistą w kościele Najświętszego Zbawiciela w Zielonej Górze. Od jak dawna?

Fot. PIOTR ŁOZOWSKI

— Od 22 lat. Do Zielonej Góry przeniosłem się za namową tutejszego księdza Engelberta Białasa, który znał się z moimi, zielonogórskimi krewnymi i interesował się muzyką oraz śpiewem. Trochę żal było rozstawać się z Poznaniem, ale jednak zdecydowałem się. W dniu 1 lutego br. obchodzić będę 25-lecie pracy artystycznej w kościele!

● Oglądamy zdjęcia z tamtych pierwszych lat. Jedno jest szczególne: sznur małych, białych habitów i czarna sutanna na przedzie. Mali chłopcy w liturgicznych szatach, prowadzeni przez księdza.

— To właśnie jest ks. Białas, wikary. Zaś proboszczem był wówczas ks. Wincenty Kowalski, pierwszy polski rządcą tego kościoła po wojnie. Obaj już nie żyją. A ci chłopcy, to schola, pierwszy zespół choralny, jaki tu założyłem.

● I z niego wyrósł chór, który prowadzi Pan obecnie?

— Nie, było inaczej. Ze scholi ukształtował się chór chłopięco-męski. Był to bardzo dobry zespół, potrafił śpiewać nawet bardzo trudne pozycje. W rok po moim przyjeździe, parafię objął nowy proboszcz — ks. Konrad Herrmann, który udzielił szerokiego poparcia dla rozwoju życia artystycznego w parafii. Odbierały się koncerty symfoniczne, a chór występował również w innych parafiach. Jednak po kilku latach rozwiązał się, głównie z tego powodu, że młodzież śpiewająca w kościele była szykanowana w szkołach. Wtedy utworzyłem chór mieszany, który obecnie liczy 65 osób w różnym wieku.

● Byłam na występie tego chóru w ub. roku, gdy koncertowały również dwa inne chóry zielonogórskie, oraz zachodniemiecki chór katedralny z Verden.

— Przebywałem wtedy w Szwecji.

● Podczas naszej rozmowy kręci się płyta z piękną i spokojną muzyką.

— Gra orkiestra Filharmonii Zielonogórskiej, śpiewa chór WSP z udziałem solistów, na organach

gram ja, a całością dyryguje Szymon Kawalla. Jest to jedna z dwóch płyt, tworzących album z pieśniami ku czci św. Maksymiliana Kolbe. Nagrania zostały zrealizowane w naszym kościele, który, posiada nadzwyczajną akustykę. Od tych nagrań rozpoczął się okres odwilży: studentom pozwolono śpiewać w kościołach. Pośród pieśni, na płycie znajdują się recytacje oraz, co ciekawe, nagranie głosu Franciszka Gajowniczka, więźnia Oświęcimia nr 5659 i późniejszego świadka w procesie beatyfikacyjnym, za którego ojciec Kolbe ofiarował życie.

● „Cantemus Domino” — śpiewajmy Panu, to tytuł płyty tak-

czy pani wie, bo oficjalnie tego się nie podkreśla, że przyjazne stosunki Zielonej Góry z zachodniemieckim miastem Verden, zaczęły się właśnie w naszym kościele, przez ks. Herrmanna. Pierwsze zaproszenie do Verden otrzymaliśmy dokładnie 22 października 1984 roku. Nie skorzystaliśmy, ponieważ wyjazd nasz zakwestionowały władze paszportowe w Warszawie. Wynikła sytuacja trochę żenująca, gdyż tamtejsza prasa, bardzo skrupulatna gdy chodzi o wydarzenia związane z Polską, zapowiadała od dawna przyjazd i występy chóru kościelnego z Zielonej Góry. Ale udało się za rok. Wystąpiliśmy w Katedrze w

„Psallite sapienter” — śpiewajcie mądrze

Z ANDRZEJEM MALIŃSKIM

organistą i dyrygentem rozmawia Halina Ańska

że z Pańskim udziałem: w charakterze dyrygenta.

— Ta płyta zawiera pieśni dawne i współczesne w wykonaniu naszego chóru, a została wydana z okazji 40-lecia Kościoła Najświętszego Zbawiciela. Jest jeszcze jedna płyta, podobnie jak tamta, wydana przez wytwórnię „Veriton”: pieśni dawne i kościelne w wykonaniu różnych zespołów, w tym również chóru naszego.

● Gratuluję Panu tych nagrań i proszę, aby zechciał Pan wymienić ważniejsze występy Pańskiego chóru, na koncertach i uroczystościach.

— Przede wszystkim występ podczas koronacji obrazu Matki Boskiej w Rokicie, w czerwcu ub. roku. Byłem organizatorem opery muzycznej tej uroczystości. Wykonane zostały dwie kantaty rokitańskie, dzieła zielonogórskich kompozytorów: Juliusza Karca do słów Henryka Szykiny i Władysława Cieślaka do słów Marii Zientary-Malewskiej. Wykonawcami były chóry z parafii: Michała Archaniola ze Świebodzina, Królowej Polski z Głogowa i nasz chór, oraz muzyka z Filharmonii Zielonogórskiej. Ja dyrygowałem. Sporo pracy włożyłem w przygotowanie. Całość, przed ponad stu tysiącami rzeszą zgromadzoną w Rokicie, wypadła imponująco.

● W ub. roku w jedną z niedziel chór Pański śpiewał w radio.

— Krótko przed uroczystościami w Rokicie, ordynariusz naszej diecezji ks. biskup Józef Michalik celebrował mszę radiową w kościele św. Krzyża w Warszawie — i my braliśmy udział w tej mszy, co dla naszego chóru było wielkim wyróżnieniem. W tym samym okresie mieliśmy występy w Szwecji, w Nybro i okolicach na zaproszenie „Lions Club” w Aho. Śpiewaliśmy tam muzykę polską. Parokrotnie też wyjeżdżaliśmy na występy do RFN i Berlina Zachodniego.

● Czy każdy chór kościelny tak wojażuje?

— Zapewne nie każdy. W naszym przypadku tak — się dzieje dzięki kontaktom zagranicznym księdza proboszcza. Nie wiem,

Verden, a w drodze powrotnej w Berlinie Zachodnim.

● Wspomniał Pan o pobycie w Szwecji. Co Pan tam robił?

— Dawałem koncerty organowe w różnych miejscowościach. Grałem utwory kompozytorów polskich i dzieła światowe na wspaniałych instrumentach. Organy w naszym kościele wymagają kapitalnego remontu, ogromnie kosztownego!

● Organista, to zawód artystyczny, nobilitujący, w pewnym sensie wolny. Czy dobrze płatny?

— Kiedyś może tak. Obecnie nie.

● Czy znaczy to, że Pańscy synowie nie pójdą w ślady taty?

— Na pewno nie pójdą. Tomasz ma lat 18, Maciej 17, obaj są muzykami i kończą Technikum Elektroniczne. Najmłodsza Magda chodzi do I klasy. Wybiłem synom z głowy pójście za mną. Zawód organisty przez całe lata był niedoceniany, lekceważony i pomijany, jak gdyby wcale nie istniał. Doświadczyłem tego wiele razy, choćby przy bezskutecznych staraniach o mieszkanie spółdzielcze lub przy załatwianiu czegośkolwiek w urzędach. Chcąc kiedyś uzyskać kredyt dla młodych małżeństw, długo musiałem udowadniać, że pracuję w instytucji społecznej.

● Co robi żona, pani Barbara?

— Pracuje w Urzędzie Wojewódzkim, w Wydziale Budżetowo-Gospodarczym i zajmuje się domem.

● Nie odpowiedział mi Pan na jedno z pytań zadanych na początku: czy jest w Polsce szkoła organistów?

— Nie ma takiej szkoły. Jedyne diecezje organizują kursy organistowskie. Organistami zostają ludzie przypadkowi. Czwórka moich wychowanków, w tym dwie zakonnice, już pracuje w kościołach. Generalnie zawód organisty w Polsce przeżywa regres.

● Jakby Pan określił swoją pracę?

— Jest trudna i odpowiedzialna. Wymaga cierpliwości i wyrze-

Ciąg dalszy na str. 12

Jak już podawaliśmy, duchowny z Diecezji Gorzowskiej — ks. Edward Dajczak, który w latach 1978-1985 był wikarym w kościele Najśw. Zbawiciela w Zielonej Górze, został biskupem. Jest to pierwszy polski biskup urodzony po wojnie na tych ziemiach.

Ks. bp Edward Dajczak pierwszym polskim biskupem urodzonym na środkowym Nadodrzu



Ks. bp Edward Dajczak: — „Esse in Christo”, być w Chrystusie...
Fot. JAN RZEMIENIECKI

Urodził się 16 lutego 1949 roku w Świebodzinie. Ma siostrę i brata. Rodzice — Zofia i Michał Dajczakowie mieszkają w Koźminiku pod Świebodzinem i są rolnikami.

Jest wychowankiem Gorzowskiego Wyższego Seminarium Duchownego w Gościkowie-Paradyżu. Święcenia kapłańskie otrzymał

w 1975 roku w Katedrze Gorzowskiej. Studia o kierunku „ascetyka i mistyka” odbył w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie.

Po otrzymaniu święceń pracował najpierw w Kargowej, potem w Kostrzynie, a następnie przez okres siedmiu lat w Zielonej Górze. Stąd powołany został do Kurii Biskupiej w Gorzowie Wlkp. na stanowisko dyrektora Wydziału Duszpasterskiego, któremu podlega m.in. cała działalność charytatywna diecezji.

Przed czterema laty, gdy po tragicznej śmierci ks. bp. Wilhelma Pluty rządu w diecezji objął ks. bp. Józef Michalik, ks. Dajczak został osobistym sekretarzem nowego ordynariusza. Po pewnym czasie otrzymał przeniesienie do seminarium w Gościkowie-Paradyżu, na stanowisko ojca duchowego tej uczelni.

W dniu 15 grudnia 1989 roku w Gorzowie Wlkp. odczytano bullę papieską, na mocy której ks. Edward Dajczak został mianowany biskupem. W sobotę 6 stycznia 1990 roku o godz. 9.30 w Bazylice Św. Piotra w Rzymie przyjął sakrę biskupią z rąk Ojca Świętego — Jana Pawła II.

W niedzielę 14 stycznia br. w Katedrze Gorzowskiej na uroczystej

mszy świętej spotkali się biskupi z różnych diecezji. Przybyli liczni goście, również członkowie parlamentu, wśród nich senatorowie z Zielonej Góry Edward Lipiec i Walerian Piotrowski.

Kolejna niedziela — 21 stycznia br. była dniem wizyty nowego biskupa w Zielonej Górze, w kościele Najśw. Zbawiciela, skąd ks. bp. Dajczak odszedł zaledwie przed pięciu laty, więc parafianie pamiętają go doskonale. Podczas sumy kościół był pełen ludzi.

Ks. bp. Edward Dajczak, który za kilka dni obchodzić będzie 41-roczną urodzinę, należy niewątpliwie do najmłodszych duchownych w polskim kościele katolickim, ja cy otrzymali tak wysoką godność. Ciekawostką już całkiem świecą może być fakt, że nowy biskup ma także dyplom technika: przed wstąpieniem do seminarium duchownego ukończył Technikum Elektryczno-Mechaniczne w Gorzowie Wlkp.

Koźminiek, gdzie mieszkają jego rodzice, należy do parafii Opalewo. Tam też, w ubiegłą niedzielę 28 stycznia w obecności rodziców, rodziny oraz tłumu wiernych, ks. bp. Dajczak odprawił mszę świętą. Dla

mieszkańców Koźminka, Opalewa i okolicznych wiosek dzień ten był wielkim świętem.

HA

MODLITWY O JEDNOŚĆ CHRZĘŚCIJAN

We wtorek 23 stycznia br. w kościele Najświętszego Zbawiciela w Zielonej Górze odbyły się modlitwy o jedność wszystkich chrześcijan, z udziałem duchownych reprezentujących kościoły: ewangelicko-augsburski, prawosławny, baptystów, polsko-katolicki i rzymsko-katolicki.

„Świat jest podzielony, rozdarty i rozpaczliwie szukający miłości” — powiedział gospodarz spotkania, proboszcz, ks. prałat Konrad Herrmann, który podał ekumeniczne hasło tygodnia: „Aby wszyscy stanowili jedno, aby świat uwierzył”. Podczas nabożeństwa kazanie wygłosił senior kościoła ewangelicko-augsburskiego w Zielonej Górze pastor Józef Pośpiech.

4 lat wśród braci studenckiej funkcjonuje przekonanie, że warto przedłużyć sobie studia. Nie jest to teoria uknuta tylko przez leniuchów, którym nie spieszo do rozpoczęcia samodzielnego życia i do zrezygnowania z portfela rodziców. Tak samo twierdzą ci, którzy od początku studiów sami troszczą się o swoje utrzymanie. Nie było tajemnicą, że pracowity student zarobił więcej korzystając ze statusu „baka”, niż jego starszy kolega magister inżynier zatrudniony w zakładzie przemysłowym. Jeszcze do niedawna sprawnie funkcjonujące studenckie spółdzielnie pracy czy Student-Serwis

nym atrakcyjną pracę. Już w styczniu poznały z wydziałów informacje o zatrudnieniu inżynierów. Zakłady nie mają teraz obowiązku zgłaszania wolnych miejsc pracy gdziekolwiek. Ponadto ustawa (z 29 grudnia 1989 roku) o zatrudnieniu nie chroni już absolwentów. Wszyscy mają jednakowe prawa, nie ma priorytetów, ani uprzywilejowań w podejmowaniu pracy. Do niedawna status absolwenta trwał trzy lata. Obecnie wynosi tylko rok. Nie wiąże się to jednak z obowiązkiem zapewnienia im pracy, a jedynie z przyznaniem bezrobotnym abiturientom zasiłku w wysokości 200 procent najniż-

ku akademickim dyplom powinno obronić 137 osób. Tytuł magistra zdobyło zaledwie 70. Reszta studentów postanowiła prawdopodobnie przedłużyć sobie studia.

Pocieszeniem dla żaków może być to, że Zielona Góra jest małym środowiskiem akademickim. Może więc zdążyć się i tak, że przemysł oraz oświata wchłoną bez problemu zielonogórskich absolwentów. Choć już w poprzednich latach germaniści mieli trudności ze znalezieniem pracy. Sytuację uratowało zatrudnienie kilku z nich jako tłumaczy na terenie NRD. Trudno w obecnej sytuacji spekulować jak ułoży się rynek pracy. Jest zbyt wiele niewiadomych. Nie jest też moim zamiarem straszyć żaków, że przyjdzie im po zdobyciu dyplomu udać się do kasy miejskiej po zasiłek dla bezrobotnych. Warto jednak mieć rękę na pulsie i wyrzucić poza mury uczelni. Bo jak dotąd studenci bardziej interesują się swoimi sprawami niż warunkami gospodarczymi kraju, w jakim przyjdzie im łąka moment żyć. Przykładem tego może być niewielkie zainteresowanie spotkaniem z przedstawicielem Kuratorium Oświaty i Wychowania w Zielonej Górze zorganizowanym specjalnie dla tegorocznych absolwentów, przez pełnomocnika ds. zatrudnienia. Już bowiem w pierwszych dniach stycznia można było zorientować się, gdzie są wolne miejsca pracy w oświacie. Ponadto kurator dysponował informacją o budowlach domów nauczyciela w różnych miejscowościach. Na 120 studentów V roku, skorzystało z tych danych zaledwie 20 osób.

Czy nadal studenci będą mieli swojego opiekuna — pełnomocnika ds. zatrudnienia, nie wiadomo. Nowa ustawa o zatrudnieniu nic na ten temat nie mówi. Do dziś nie ma też przepisów wykonawczych, które być może określają nową rolę, jaką będzie spełniał dotychczasowy pełnomocnik. Wiadomo jednak, że nie będzie mógł funkcjonować tak jak dotychczas.

K. HALICKA

Absolwent na zasiłku

apewniały chętnym dorywcze prace z wysokim wynagrodzeniem. Przykładowo za malowanie obryzanej hali, przez trzy miesiące, student mógł zrobić tyle, ile jego kolega z dyplomem przez cały rok. Czy tak będzie nadal?

Powstaje coraz więcej małych, prywatnych zakładów usługowych, czasami zakładanych przez absolwentów wyższych uczelni. Są one głównym konkurentem dla istniejących od lat firm studenckich. Na przetargach walczą między sobą o zlecenia. A żaków poszukujących dorywczej pracy jest dziś sporo, a tej drugiej namniej jakby coraz mniej. Ponadto student etnie podejmuje się niemalże każdej dobrze płatnej roboty, nawet fizycznej. Natomiast absolwent najczęściej chce zatrudnić się w swoim wódzie. Jest to normalne, wszak zdobył wykształcenie.

Dotychczas zakłady pracy czekały na absolwentów wyższych uczelni. Składały zaproszenia w wydziale zatrudnienia jak i u pełnomocnika ds. zatrudnienia absolwentów. Ten ostatni miał obowiązek znaleźć swoim podopiecz-

szego wynagrodzenia przez 3 miesiące, 150 proc. przez dalsze 6 i wysokość równą najniższemu wynagrodzeniu przez 9 miesięcy.

Istnieje zagrożenie, że studenci piątego roku zielonogórskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Wyższej Szkoły Inżynierskiej, będą mieli problemy ze znalezieniem pracy w swoim zawodzie. Warto zatem postarać się o zapewnienie sobie miejsca już teraz, jeszcze przed obroną pracy magisterskiej. Nie będzie to jednak łatwe. Zakładom przemysłowym trudno odnaleźć się w nowych regulach gry gospodarczej. Są tendencje raczej do zwalniania niż zatrudniania, szczególnie wykwalifikowanej kadry technicznej.

Jeszcze w ubiegłym roku, w czerwcu, dyplomanci obu zielonogórskich uczelni otrzymywali od pełnomocnika ds. zatrudnienia absolwentów propozycje pracy wraz z mieszkaniem. W październiku nie było już tak atrakcyjnych ofert. Dziś jest ich jeszcze mniej. Kto pierwszy więc, ten zdobędzie lepszą propozycję.

Jak już wspominałam, studentom nie spieszy się z opuszczeniem uczelni. W ubiegłym ro-

Wyniki pracy milicji za 1989 rok nie są najlepsze i świadczą o zmniejszonej skuteczności działań patrolowych, profilaktycznych, osłonowych.

Zwiększyła się ogólna liczba przestępstw — z 7.892 w roku 1988, do 9.555. Przestępstwa kryminalne, w porównaniu z rokiem 1988, wzrosły o ponad 31 procent. O ponad 66 procent więcej było kradzieży z włamaniami do mieszkań, garaży samochodów oraz do obiektów społecznych.

O ponad 53 procent zwiększyła się liczba rozbojów. Przypadków zabójstw w roku 1988 było sześć. W roku ubiegłym dziewięć.

Blisko 20 procent ogólnej liczby przestępstw popełnili nieletni. Liczba czynów karalnych, których dopuścili się dzieci, w porównaniu z rokiem 1988 wzrosła o połowę. Przestępczość nieletnich nasiliła się szczególnie w obrębie Rejonowych Urzędów Spraw Wewnętrznych — w Szprotawie, Zielonej Górze i Nowej Soli.

Szef Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Zielonej Górze płk. Mieczysław Chęciński przedstawił dziennikarzom aktualne problemy MO i SB, na tle ubiegłorocznych wyników pracy oraz w związku z dokonywanymi się zmianami wewnątrz resortu.

Milicja

po nowemu

HALINA ANSKA

Pogorszył się stan bezpieczeństwa na drogach. Zdarzyły się 624 wypadki, o 31 procent więcej, niż w roku 1988. Śmierć poniosło 117 osób (w roku 1988 93 osoby), a 726 osób odniosło obrażenia (w 1988 roku 569 osób).

Zmieniają się liczby w statystyce, ale przyczyny pozostają te same: niebezpieczna prędkość, wymuszanie pierwszeństwa, brawura kierowców, nieostrożność pieszych. I nietrzeźwość! Przyczyna 131 tragicznych zdarzeń na drogach w ub. roku, była wódka!

Zmniejszyła się wykrywalność przestępstw w województwie. Mimo to zielonogórski WUSW, wśród innych w skali kraju, przedstawia się nie najgorzej. Pod względem wykrywalności w ogóle zajmuje dwudzieste miejsce, czyli mieści się w pierwszej połowie. Natomiast w tzw. wykrywalności milicyjnej, znajduje się na czwartym miejscu.

Wykrywanie przestępstw, jak mówi szef WUSW, jest jednym z głównych problemów sprawności i kompetencji milicji. Pod tym względem najlepiej — spośród dziesięciu takich placówek — przedstawia się Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych w Nowej Soli. Najgorzej wypadły w ub. roku Żary, Wolsztyn, Zagań i Szprotawa.

Płk. Chęciński mówi o rozchwianiu się funkcji prawa. Zawężone zostało stosowanie tymczasowych aresztowań. Częstsze są zawieszenia kary przez sądy.

Tymczasem daje o sobie znać drastycznie obniżona dyscyplina społeczna, co niekorzystnie oddziałuje na trwającą wciąż destabilizację ekonomiczną. Zjawisko to pogłębiają wciąż nasilające się patologie.

Z jednej strony więcej kradzieży. Z drugiej coraz częściej stwierdzany brak ochrony własności przez samych właścicieli — tak prywatnych, jak społecznych, państwowych, spółdzielczych, zakładowych.

Dodatkowe zagrożenia powstały w związku z niedawną amnestią. Z dziewięciu powychodzący recydywiści, a są wśród nich tacy, dla których pokusa dokonania przestępstwa są silniejsze, niż pragnienie wolności. Oto przykłady.

Niemal natychmiast po opuszczeniu Zakładu Karnego w Koziegłowach, 30-letni Stanisław C., recydywista, napadł w Świebodzinie na Jerzego P.

Podobnie 32-letni Zdzisław, wcześniej już karany, po wyjściu z Zakładu Karnego we Wronkach, przyjechał do Żar i tu, na stadionie przy ul. Witosza zgwałcił 17-letnią dziewczynę.

Skazany wcześniej za włamanie, 45-letni Ryszard W., po zwolnieniu go z Zakładu Karnego w Głogowie, został zatrzymany w Zielonej Górze na usiłowaniu kradzieży materiałów budowlanych z placu przy szpitalu.

Niedawno cała Służba Bezpieczeństwa skierowana została do pracy wykrywczej. Funkcjonariusze zza biurki zajęli się tropieniem złodziei na parkingach i placach. Był to jednorazowy manewr prewencyjny. Obecnie SB znajduje się świeżo po generalnych zmianach.

W 1984 roku SB rozrosła się i zagarnęła wielu funkcjonariuszy MO. Teraz nastąpił proces odwrotny. Do 15 stycznia br. SB w zielonogórskim WUSW zmniejszona została o połowę — i wynosi obecnie, wraz z kontrwywiadem, około 90 etatów. Dla porównania: w pierwszych latach 80-tych zatrudniała 360 pracowników etatowych.

Komórka SB w Rejonowym Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Zielonej Górze zlikwidowana została jeszcze przed rokiem, co wówczas było krokiem pod prąd. Teraz zlikwidowano także komórki w pozostałych dziewięciu rejonach, łącznie 24 etaty. O 14 etatów zmniejszona została liczba pracowników kontrwywiadu. W efekcie tych przekształceń, 53 pracowników SB przechodzi do pracy w MO.

Milicjantów jest za mało. Wprawdzie odwrót od MO już się zatrzymał. Był okres, jak mówi płk. Chęciński, że niemal codziennie meldował się ktoś z prośbą o zwolnienie. Dziś — już nie.

Mimo to WUSW w Zielonej Górze posiada 313 wolnych miejsc pracy. Brakuje m.in. 36 dyżurnych, 30 pracowników w wydziałach kryminalnych, 13 konwojentów, 27 posterunkowych! Potrzebni są technicy kryminalistyczni, funkcjonariusze ruchu drogowego. Młodzi, zdrowi, sprawni! Nie „Berewicze” i „Kojaki”, ale zwyczajni milicjanci, do codziennej służby, mającej ochronić społeczeństwo przed kradzieżami i bandytyzmem.

POSTAWY

Mocny człowiek na horyzoncie

Gdzie jest milicja? Gdzie są ludzie z Państwowej Inspekcji Handlowej? Gdzie jest Najwyższa Izba Kontroli? Pytania takie, w charakterze swoim retoryczne, pa dają teraz często w najróżniejszych okolicznościach, podczas burd pijackich, przymusowego nacjonalizowania biżuterii starszej pani rencistki, awantury w kolejce. Konkluzją tych pytań jest stwierdzenie że przydałby się bolszewik z gnatem w garści, który zrobi nareszcie porządek, taki Feliks Edmundowicz na miarę dzisiejszych potrzeb.

Czytałem niedawno list otwarty związkowców z Zakładów Mechanicznych „Gorzów” adresowany do premiera Mazowieckiego, dotyczący rozpaczliwej sytuacji materialnej ludzi pracy, emerytów i rencistów. Jeśli pauperyzacja postępować będzie dalej, następstwa w postaci wyładowywania groźnych napięć społecznych będą miały trudne do przewidywania skutki. Co katolicki premier może powiedzieć związkowcom po przeczytaniu listu? Wyrzucić współczucie? Dać znać, że wie? Nawiązać do cierpliwości?

Również rolnicy pisują listy o podobnej treści do Tadeusza Mazowieckiego, zaś ustnie wyrażają pogląd, że żaden rząd w Polsce Ludowej, nawet najgorszy, najbardziej doktrynerski, nie uczynił tylu szkód rolnictwu indywidualnemu, co obecny, demokracja czny, sprawiedliwy, odważny.

Ludzie lewicy, czując się oszukani przy okrągłym stole, ponizani i szkalowani przy otwartej kurtynie Sejmu i Senatu, tulą głowy i czekają na najgorsze — procesy palenia czarownic. Też piszą listy otwarte do społeczeństwa, zmyłkowo kierowane do Rządu i jego organów. Listy lewicy, załosne w swojej wymowie, nie są chyba czytane.

Wybrańcy narodu prowadzą wielkie gry polityczne. Najchętniej w sejmowym bufecie, bo marża gastronomiczna jest tam nala. Na pokaz publiczny serwują swój stosunek do krzywd historii, pamflety na czerwonych, rzucając kości do obgryzania — a to upaństwowienie własności partyjnej, czytaj — PZPR, to przyspieszenie wyborów komunalnych. Tylko ile jeszcze jest takich dyspo-

zycyjnych, dyżurnych zabawek? Przeczuję, że dni obecnego rządu są policzone. Odejdzie on w sposób wytworny, przy zachowaniu manier parlamentarnych. Faktycznie zaś zostanie zmieciony ze sceny historii przez ulicę. Lech Wałęsa już, choć jeszcze w sposób umiarkowany, złożył ostrzeżenie ekipie Mazowieckiego, która w tym samym stopniu jest jego własną ekipą. Powiada jej, że źle się bawi.

Sytuacja, jak zwykle, jest dobra ale jeszcze nie beznadziejna. Wyjścia są. Nawet nie w formie wypowiedzenia wojny Związkowi Radzieckiemu, Stanom Zjednoczonym, Niemcom, albo wszystkim na raz. Otóż odsunięty od władzy, sfrustrowany marszałek Piłsudski w przerwach między lekturami, pisaniami, wypoczywaniem na żelaznym łóżku przykrytym żołnierskim kocem, przyjął delegację zaufanych oficerów, którzy przedstawili, ich zdaniem, jedyną jedyne słuszne wyjście z bardzo trudnej sytuacji kraju — za mach stanu firmowany przez marszałka. Zegnając delegację na ganek, marszałek wysunął częściowo z pochwy ostrze szabli, wsunął z powrotem i powiedział: obiecuję wam, panowie, że moja ręka nie podniesie nigdy tej broni, przeciw interesom ojczyzny. — Byłem wtedy w Sulejówku jako młody reporter „Robotnika”, siedziałem w krzakach i zapamiętałem te historyczne słowa. Tym którzy nie wierzą, podaję świadectwo Adolfa Nowaczewskiego.

Groźba zamachu, stanu może być realnym zagrożeniem, w obecnej, najbliższej sytuacji kraju. Zamach taki, lękam się tego, nie spotkałby się z protestami zmęczonych mas, uspokojonych kilkoma populistycznymi frazesami. Przewiduję, że zamach miałby w sposób zdecydowany charakter prawicowy. Warunki ku temu są. Nie wiem tylko, gdzie dziś w Polsce leży ów Sulejówek? Kim będzie ów mocny człowiek, triota, nieomylnie wiedzący co i jak należy czynić, aby wyjść z bagna, przekonany o swojej popularności w kraju i na świecie? Horyzont dla mocnego człowieka jest.

RYSZARD ROWIŃSKI

MŁODZIEŻOWA AGENCJA MATRYMONIALNA

— wszelkie informacje bezpłatne. Skrytka 1827
Wrocław 46

K. 75

„To robi złą krew”



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

Pod takim tytułem hamburski tygodnik „Der Spiegel” opublikował ostatnio artykuł na temat polskiej emigracji do RFN. Przytaczamy obszernie wyjątki:

„Ze strachu przed związkami „wypędzonych”, rząd bński zwleka wciąż z przeprowadzeniem niezbędnej reformy prawa o wysiedleńcach. Przeszarżałe przepisy z okrasu bezpośrednio powojennego umożliwiają masowe nadużywanie „prawa o wysiedleńcach” przez Polaków przybywających do RFN. Dzieje się to wszystko na koszt zachodniemieckiego podatnika, słabszych socjalnie obywateli RFN, obciążając niepomierne kasy państwowe, miejskie i gminne.

W komisji socjalnej Rady Miejskiej Dortmundu kierownik wydziału socjalnego Manfred Scholle bije na alarm. Około 4 tys. polskich imigrantów zameldowało się przy końcu ubiegłego roku w Dortmundzie.

— Nie wiemy już, gdzie tę masę ulokować. Mieszkania przejściowe są przepełnione, a nadal każdego tygodnia przybywa ok. 120 Polaków.

Szef wydziału socjalnego miasta Bremy — Henning Scherf powołał — w związku z masowym napływem Polaków — specjalny „sztab kryzysowy”. Do tego, średniej wielkości miasta przybyło w ubr. ponad 4.500 Polaków. Po djęto tam wreszcie decyzję o zatamowaniu tego napływu. Ale poskutkowało to tylko na trzy dni. Zalew Polaków zaczął się od nowa.

Senator miasta Bremy odpowiedzialny za sprawy socjalne mówi o katastrofalnej sytuacji, jaka wytworzyła się w tej dziedzinie. Podobnie wygląda w innych miastach RFN. Sytuacja zaostriżyła się ostatnio w wyniku masowego napływu emigrantów z NRD. Oto najnowsze liczby podsumowujące 1989 r.

- 340 tys. przesiedleńców z NRD
- 350 tys. ze wschodniej i południowo-wschodniej Europy
- 111 tys. ubiegających się o azyl z reszty świata.

Ogółem więc przybyło w ubr. do RFN ponad 800 tys. imigrantów. Wysiedleńcy z Polski stanowią szczególne obciążenie. (Zwracam uwagę na terminologię stosowaną oficjalnie przez władze RFN, a mianowicie określanie przybyszów z Polski mianem „wysiedleńców” (!) — M.H.)

Coraz większa jest liczba Polaków, którzy przyznają się do niemieckiego pochodzenia i ubiegają się o udzielenie im prawa pobytu w RFN na mocy „Ustawy o wypędzonych”. Tylko w latach 1988-89 ok. 370 tys. przybyszów z Polski złożyło podania o przyznanie im statusu wysiedleńcy i wydanie dokumentu tożsamości dla „wypędzonych”. Ponad 1000 Polaków dziennie napływa nadal.

Przybysze z Polski powołują się na przepisy o „wypędzonych” pochodzące z 1953 roku. Według artykułu 116 „Ustawy Zasadniczej RFN” — Niemcem jest nie tylko ten, kto posiada aktualnie obywatelstwo niemieckie, ale również ten, kto jako przynależny do niemieckiej wspólnoty narodowej uzyskał w charakterze uciekiniera lub wypędzonego prawo pobytu stałego w RFN. Zgodnie z paragrafem 6 „Ustawy o wypędzonych”, traktuje się niemiecką przynależność narodową za dowiedzioną, jeśli wnoszący podanie uważany był za Niemca w swoim poprzednim środowisku i miejscu zamieszkania oraz posiada dostatecznie przekonujące dowody swej niemieckiej przynależności narodowej.

Nie było to żadnym problemem wtedy, gdy rozpatrywane były sprawy mieszkańców tych

obszarów dawnej Rzeszy, takich jak Śląsk, Pomorze, Prusy Wschodnie, Wschodnia Brandenburgia (terminologia niemiecka — M.H.), którzy przy końcu wojny nie uciekli na Zachód lecz zostali później z Polski (na mocy postanowień Konferencji Poczdamskiej — M.H.) wysiedleni. Nie ulegało wówczas wątpliwości, że są to autentyczni Niemcy.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z obecnymi przybyszami z Polski. W olbrzymiej większości (zupełnie inaczej aniżeli imigranci z ZSRR i Rumunii, którzy są autentycznymi Niemcami) nie mają oni z niemieckością nic wspólnego. Ponad 90 proc. z nich nie mówi w ogóle po niemiecku. Opierają więc oni swoje roszczenia do „niemieckości” na tej podstawie, że nazwiska ich rodziców lub dziadków mają niemieckie brzmienie, choć przecież wielu jest rdzennych Polaków z takimi nazwiskami. Ubiegający się o „niemieckość” powołują się na nazwiska ich rodziców lub dziadków, które figurowały na tzw. „volksliście — 3”, sporządzonej przez władze niemieckie na terenach okupowanej Polski. Tymczasem sprawa ma się następująco: o ile przynależni do tzw. „volkslisty” — 1 i 2 byli rzeczywistymi „volksdeutschami”, to na liście nr 3 wpisani zostali Polacy, którzy przez zasiadających w niemieckich władzach okupacyjnych hitlerowskich urzędników — posługujących się rasistowskimi ustawami III Rzeszy — określani byli jako „niezasługujący na przyznanie im niemieckiej przynależności narodowej”.

Według niemieckich obliczeń było takich osób na obszarach okupowanych ok. 1,7 mln. Wpisani na tę listę nie byli bynajmniej przez władze niemieckie pytani, czy chcą się na niej znaleźć. Wielu spośród nich — i taki był też podstawowy cel wpisywania na wspomnianą listę — powoływano później do służby w Wehrmachcie. Po wojnie osoby te nie zostały wysiedlone przez Polskę, albowiem władze polskie nie uznawały ich za Niemców i oni też bynajmniej Niemcami się nie czuli.

Trwające od dłuższego czasu złe warunki egzystencji w Polsce, istniejąca obecnie pełna swoboda podróżowania dla polskich obywateli oraz powiększające się trudności z uzyskaniem azylu politycznego w RFN (w wyniku oczywistej absurdalności powoływania się na ucisk polityczny w obecnej Polsce) spowodowały, że coraz większa liczba przybyszów z Polski ubiega się o prawo pobytu w RFN w oparciu o prawdziwą czy rzekomą przynależność swych przodków do „Niemieckiej grupy narodowościowej”. Oczywiście, udowodnienie tego jest dla nich nadzwyczaj trudne. Przy okazji warto podkreślić, że około 80 proc. Polaków ubiegających się o status „wypędzonego” urodziło się po wojnie.

Władzom RFN przedkładane są też zaświadczenia mówiące o służbie wojskowej ojców lub dziadków w Wehrmachcie, chociaż — jak już stwierdziliśmy — wcale to nie świadczy o niemieckiej przynależności narodowej tych osób. (Jak powszechnie wiadomo, ci przymusowo wcieleni do Wehrmachtu Polacy, gdy tylko mogli, przechodzili na frontach wschodnich i zachodnich na stronę aliantów, służąc i walcząc później w polskich jednostkach wojskowych — M.H.).

Ogromne są obciążenia finansowe, jakie ponosi kasa federalna RFN oraz władze muncypalne miast i gmin w związku z napływem Polaków. Zgodnie z obowiązującymi przepisami, przysługuje obecnie każdemu nowoprzyjętemu przybyszowi 1011 marek miesięcznie na okres tzw. adaptacji plus 130 marek zasiłku na każdego członka rodziny. Pieniądze te wypłacane są natychmiast, od chwili przyznania imigrantowi z Polski statusu wysiedleńcy.

Przy przyznawaniu „niemieckości” bywają przy tym wypadki wręcz paradoksalne. Gdy np. władze hamburskie zwróciły się do Berlińskiego Centrum Dokumentacyjnego o sprawdzenie sprawy pewnej Polki, wnoszącej o przyznanie jej „niemieckości”, okazało się, że matka petentki — na którą ta ostatnia, jako na Niemkę się powoływała — została w 1943 roku przez tzw. Urząd ds. Rasy III Rzeszy określona mianem „mieszanka rasowa” i dlatego odmówiono jej wydania zezwolenia na ślub z SS-manem.

Ciąg dalszy na str. 12

Ma Pan za sobą najlepszy rok w swej karierze. Z pewnością czuje się Pan w porządku wobec świata.

— Tak. Jestem znowu sobą. Ludzie mnie lubią. A piłką tenisową wciąż dobrze trafiam.

— Nie zawsze tak było.

— Prawda. Moja publiczność i ja rośliśmy razem od 1985 roku. Obie strony popełniły sporo błędów i każda wyciągnęła własne wnioski.

— Co pan robi dziś inaczej, niż trzy-cztery lata temu?

— Już nie gram Borisa Beckera, tylko po prostu nim jestem. I nie potrzebuję się ukrywać.

— Widać Pana w miejscach publicznych.

— Po zwycięstwie na Wimbledonie w ub. roku po raz pierwszy nie pojechałem do Leimenu (miasto rodzinne Beckera). Powiedziałem sobie: tym razem zrobię to, na co mam ochotę. I pojechałem do Hamburga, do Karen, mojej dziewczyny. Pierwsze trzy dni spędziłem w domu nigdzie nie wychodząc. Potem poszliśmy wieczorem na Reeperbahn (dzielnica uciech). Byliśmy też w dyskotekę. Spokój, żadnego zamieszania. Wszyscy uśmiechali się do

— Owszem, noszę je kiedy świeci słońce, a kapelusz, kiedy jest zimno. Opowiem pewną historię. Byłem w ub. roku na Malediwach, w małej rybackiej wiosce. Miałem kapelusz i okulary. Nagle podbiegł do mnie chłopak z moim plakatem w ręce. Uśmiechnął się, a ja uśmiechnąłem się do niego. Za chwilę zjawił się jego brat i wszyscy trzej śmieliśmy się serdecznie. Zostałem rozpoznany. Chcę przez to powiedzieć, że pięknie jest dzielić z innymi radość i wolność, niż przeżywać je samemu, w miejscu odizolowanym od świata.

— Czy granie na korcie sprawia Panu przyjemność?

— Ostatniej jesieni, gdy nie grałem przez siedem tygodni, odczuwałem wprost dzikie pragnienie, żeby sobie pograć. Miałem większą ochotę na „pogranie sobie”, niż na wielki turniej, w którym idzie gra o wielką stawkę. Taki Grand Slam-Turniej sprawia przyjemność. Ale już na trzy dni przed zakończeniem, zaczyna się robić ciężko na duchu i ciele. Trzeba się wtedy totalnie zebrać w kupy, sprężyć się, nastrojać optymistycznie, bo inaczej się nie wygra. Staję tuż przed końcową grą i myślę: za cztery godziny będzie po

wychowania, charakterem, usposobieniem, sukcesami. Ona nie miała porażki w ciągu ostatnich trzech lat.

— Steffi zawsze mówi, że jest szczęśliwa. Ale po zwycięstwie na US-Open, tylko mały uśmiech, to było wszystko, co okazała. Radość wygląda inaczej.

— Dla Steffi wygrać, to jak dla normalnego człowieka wstać rano. Ona nie zna przegranej. Najlepsze — co mogłoby być dla niej, to aby przez cały rok następny grała źle i przegrywała.

— Żeby lepiej poznać samą siebie?

— Właśnie.

— Sześć damskiego tenisowego zespołu Klaus Hofsäss powiedział, że tego roku często słyszał z ust Steffi: „cholerny tenis”.

— Równie dobrze mogła mówić „cholernie życie”. Iluż to sportowców na topie, w ostatnich piętnastu latach rozstało się z tym bytnem, będąc zdrowymi, normalnymi ludźmi? Bez narkotyków, dziesięciu tysięcy zaliczonych kobiet, za to z rodziną, dwójkiem dzieci i po rzadną pracę? Nie znam takich!

— Dlaczego to się nie udaje gwiazdom sportu?

— Bo żyjemy w show-swiecie. W sztucznym cyrku, który nie ma nic wspólnego z realnym życiem. Pewnego dnia jest już po wszystkim. I co wtedy? Przeszawić się na normalne życie, nie udaje się — z dnia na dzień! I wtedy wielu nie umie się odnaleźć w nowych warunkach.

— Martina Navratilowa powiedziała w 1987 roku w Paryżu, że chce zakończyć karierę jak Greta Garbo, w momencie największych sukcesów.

— To jest piękne marzenie: wycofać się po zwycięstwie w Wimbledonie.

— Czym słynny tenisista może jeszcze „dać się zwariować”?

— Od tego jestem już uwolniony. Od zwariowania — dla pieniędzy! Nigdy ich nie jest zbyt wiele. Nawet Lendl który pieniądze ma dosyć, na drugi dzień po swoim weselu wyjechał na siedem tygodni, żeby grać, zresztą w niespecjalnie istotnych meczach, dla pieniędzy. To jest dla mnie niepojęte.

— Jaki jest pana stosunek do pieniędzy?

— Nie brakowało mi ich dotychczas i jeszcze nigdy dla nich nie grałem. Potrafię szanować pieniądze. Jeśli ktoś mówi, że jego auto kosztowało 50 tysięcy marek, zdaje sobie sprawę, że to cholernie drogie auto. Chciałbym, aby pieniądze w dalszym ciągu nie miały wpływu na moje poglądy na życie i świat.

— Kto jest dla Pana gwiazdą?

— Bruce Springsteen.

— Dlaczego on?

— Bo nie tylko uszczęśliwia ludzi swoją muzyką, ale także pomaga inwalidom z wojny wietnamskiej. Muzyk Springsteen ma lat więcej niż sportowiec Becker. Między jedną płytą, a drugą, robi trzyletnią przerwę. A ja? Jeśli zdarzy się, że przez trzy tygodnie nic nie robię, potem przez sześć tygodni muszę ciężko pracować, żeby odzyskać jako-taką formę i być O.K. Bo przynajmniej raz na dwa miesiące gram wielki turniej.

— Czy trudno jest Panu utrzymać taką dyscyplinę?

— Nie. Czasem nawet piję piwo. Ale jeszcze nigdy nie byłem pijany. Nie widzę sensu w picu i narkotykach. Gdy się jest pijanym, nie czuje się żadnego upojnego, przyjemnego momentu.

— Skąd Pan to wie, skoro nigdy Pan nie próbował?

— Ale spotykałem pijanych ludzi, którzy nie wiedzieli, że ich obserwuję.

— Nigdy nie miał Pan ochoty po drugiej butelce piwa sięgnąć po trzecią?

— Tak, kiedy piwo szczególnie mi smakowało. Ale czwarta butelka nie smakowała mi nigdy. Zawsze to czwarte piwo jest dla mnie gorzkie.

— Zna Pan powiedzenie ludowe, że tylko dzieci i pijani mówią prawdę?

— Co do mnie, to nie muszę się upijać, by powiedzieć prawdę.

Z tygodnika „Stern” fragmenty tłumaczyła

BEATA BARTOSIEWICZ

Boris Becker o sobie

Żyjemy w sztucznym cyrku

mnie przyjaźnie. To było cudowne. Bo wcześniej okazywano mi wiele zawiści.

— Rzeczywiście tak było?

— Ludzie byli mi zawistni, ponieważ miałem to, czego oni nie mieli: siedemnaście lat, największe sukcesy jakie może osiągnąć sportowiec i ciężkie pieniądze. Ale jako człowiek, co miałem z życia? Nic. Dziewięciu osobom na dziesięć „odbija” kiedy nieoczekiwanie odniosą wielki sukces.

— Panu nie odbiło?

— Nie. Przychodzi moment, że człowiek za daje sobie pytanie: dlaczego robi to, co robi i czy chciałby to robić dalej? Każdy chyba zna to uczucie, jakby stał plecami do ściany i nie wiedział, co dalej. Musi się wtedy zdecydować: tak — albo tak. Większość wybiera łatwiejszą i wygodniejszą drogę. Ja poszedłem pod prąd.

— Kiedy było to — z „plecami do ściany”?

— W końcu 1987 roku. Był to rok kiepski dla mnie. To jest tak: masz sukces — jesteś O.K. Nie masz go — nie jesteś O.K. Ale sukces może być przypadkowy, omyłkowy, może oszukać nawet ciebie samego! Mimo, że wygrałem, w gruncie rzeczy przegrałem! Przegrałem dla samego siebie, poza kortem. A w końcu przychodzi uczucie, że przegrałem również w miejscu, w którym odniosłem zwycięstwo: na kortach. Wtedy nie zostaje już nic. Nawet pozory.

— Jak radzi sobie Pan z popularnością?

— Nauczyłem się żyć, będąc ogólnie znanym. I taką sytuację akceptować. Dzięki temu mam wolność i niezależność, jakie są udziałem chyba niewielu ludzi.

— Zawzięta ludzka już nie daje się Panu we znaki?

— Jest jej mniej. Ludzie wiedzą, jak ciężki czas przeszedłem. O wiele za ciężki, jak na mój wiek. Mam to za sobą. Teraz wykonuję mój zawód z wielką ochotą.

— Czy spotyka się Pan czasem z „normalnymi” ludźmi, to znaczy spoza świata gwiazd?

— Z takimi ludźmi zadaje się chętniej, niż z tymi w krawatach. Kiedy spaceruję nocą po tych, dość kiepskich dzielnicach Hamburga, lepiej się czuję, niż w moim hotelowym, eleganckim otoczeniu. Tutaj ludzie są na większym luzie. I biorą cię takim, jakim jesteś. Nie patrzą co masz, czym pachniesz.

— Nie nosi Pan już ciemnych okularów?

wszystkim. Muszę osiągnąć maksymalną koncentrację. Grand Slam jest maratonem. Ludzie nie mają pojęcia, jak strasznie jestem zmęczony po finale.

— Tak poważnie traktuje Pan tenis?

— Powtarzam sobie: musisz być twardy. Przed tobą stoi przeciwnik, którego musisz zwyciężyć. Zdarzają mi się rozgrywki, jak ta — przeciwko Rostagno, na US-Open. Od samego początku brakowało mi zdecydowania, odrobiny brutalności. Krążyło mi po głowie: ten po drugiej stronie, to całkiem miły facet! Tymczasem tamten tak nie myśli, jest zawzięty, i to, co się dzieje, jest dla mnie niekorzystne! Kiedy jest już za późno, zapytuję sam siebie: czy ty jesteś tu dla przyjemności? Jesteś może Matką Teresą, czy co?

— Więcej trzeba być świnia, żeby wygrywać?

— Bardzo często, bardzo często.

— A jak to bywa z Panem?

— Nie sądzę, abym kiedykolwiek był świnia. Jestem do wszystkich usposobiony przyjaźnie. Wierzę, że w człowieku więcej jest dobrego, niż zła. Jestem bardziej optymistą, niż pesymistą. Kiedy zdradzę komus, kogo lubię, kilka tricków, a ten ktoś wykorzysta je później przeciwko mnie, myślę: cholera, mogłem trzymać język za zębami.

— Jeśli zachowywałby się Pan inaczej na kortach, czy miałyby to konsekwencje w życiu prywatnym?

— Wydaje mi się, że potrafię jedno od drugiego oddzielać. Lendl na przykład, wcale nie jest takim człowiekiem, jak sam o sobie sądzi. Jest wrażliwy, naładowany kompleksami, nerwowy, ostrożny. Brak mu pewności siebie. Żyje we własnym świecie. Nie spędza czasu z innymi sportowcami, nie jada z nimi. Nigdy nie pokazuje się prywatnie, np. w hotelu.

— Jak pan sądzi, jak długo jeszcze Lendl będzie grał?

— Powiedział mi, że jeśli wygra na Wimbledonie, to będzie jeszcze grać przez następny rok. Uwierzyłem mu. Ale w gruncie rzeczy nie wierzę w to, co mówi.

— Co pan sądzi o Steffi Graf?

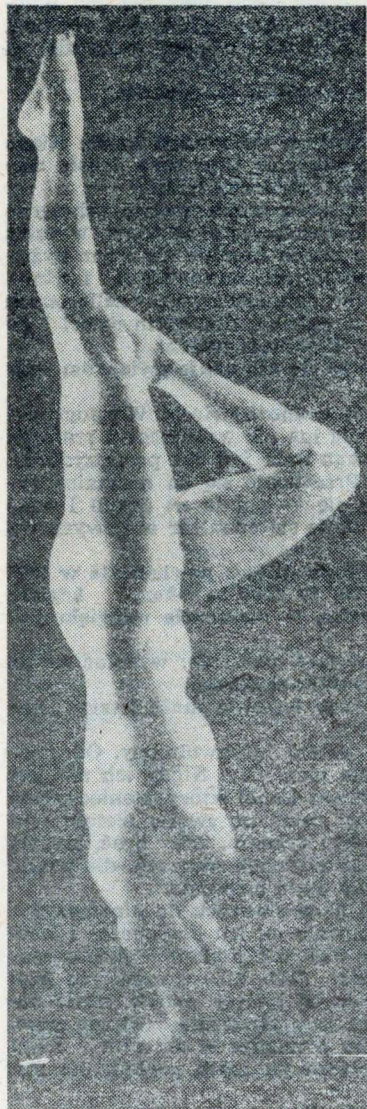
— Ach, nie powinno się nas porównywać. Jedyne, co mamy wspólne, to fakt, że oboje gramy w tenisa. Nic poza tym.

— Ta sama narodowość, ten sam wiek.

— Mimo to bardzo się różnimy sposobem

Spotkanie z Temida

Finat wrześniowej nocy



Było to ponad rok temu. Chwilkowo opuszczona przez konkubina z dwojgiem dzieci Ludwika P. zastanawiała się, co począć z ponuro zapowiadającym się sobotnim wieczorem w O., który obiecywał jeszcze bardziej beznadziej-

na niedzielę. I zapewne byłoby tak, gdyby teściowa nie podsunęła myśli: skocz do miasta Lusiu, kup w „nocnym” pół litra, rozerwiemy się. Był to pomysł zmiany konwencji owego fatalnego wieczoru na wsi, w której o tej porze, zdarza się, nawet pies nie zawyje i różne myśli przychodzą do głowy. Bo w tygodniu można było posiedzieć parę godzin w pułym sklepie, w którym „pracowała” i czas jakoś szybciej leciał.

Nie namyślając się długo, wsiała na rower i pojechała do pobliskiego S. Pod sklepem postawiła rower, kupiła po odstąpieniu w świeżej i głodnej kolejce pół litra i zamiast wrócić do domu, gdzie czekała niezbyt jednak atrakcyjna jako partnerka, teściowa, postanowiła odwiedzić brata. Nie zastawszy go, wstąpiła do sąsiadów. Tu, wobec przyniesionej przez nią zawartości, przychylnie ją przyjęto. W butelce szybko pokazało się dno i zrodził się pomysł następnej.

Już w lepszym nastroju, ponownie udała się do „nocnego”, wyposażona przez współbiedniaków w niezbędne środki finansowe. Trudno dziś dociec, dlaczego po zakupieniu dwu butelek wódki znalazła się na postoiu taksówek, w pobliżu największej w mieście knajpy z dancinikiem, z której akurat wyszło rozbawione towarzystwo — dwu mężczyzn i kobieta. Z nawiązaniem znajomości nie było kłopotów, wszystkich nęciła chęć atrakcyjnego spędzenia dalszego ciągu wieczoru, a właściwie już nocy. Układ był dobry: dwa na dwa. Propozycję zgłosił Ryszard P., miał wolną chatę. Wkrótce tam się udali, dokupując po drodze zapas alkoholu. Atmosfera szybko się rozgrzała i nikt nie miał wątpliwości, co do dalszego rozwoju sytuacji. Było wesoło. Wszystko skończyło by się zapewne dobrze, gdyby nie ten „trzeci”, Zdzisław L., który nie zapowiedziany przybył w gości, czując nadarżającą się okazję.

Nie tyle brakowało alkoholu, ile jeszcze jednej „dzwieczynki”. Na tym tle doszło do niewybrednego konfliktu między mężczyz-

nam, który utopiono w wódce. Pierwsze pały dziewczyny. W pewnym momencie jedną z nich, rielonę Z., zaciągnął do sąsiedniego pomieszczenia Stanisław S., gdzie odbył z nią stosunek picinowy, choć jak później zeznał w sądzie, nie ufał mu to żadnej przyjemności. W pokoju, gdzie odbywała się biesiada, zostali w trójkę: Ludwika P., Zdzisław L., Ryszard P. Pili dużo.

Ludwika P. poczuła się źle i położyła się na tapeczanie. Pierwszy skorzystał z tego Ryszard P. Zerwał z nieprzytomnej odzieniem i zaspokoili swoją chęć. Zdzisław L. tymczasem zdrzemnął się przy biesiadnym stole. Nie wiadomo, jak długo to trwało, zbudził go chyba Stanisław S. i Helena Z., którzy opuścili mieszkanie, udając się „w Polskę”. Ryszard P. spał obok nadal nieprzytomnej Ludwika P. na tapeczanie.

Rozsierdziło to Zdzisława L., który zwiłkł Ludwikę na podłogę i uczynił z nią to, czego już wcześniej dokonał Ryszard P. Na zakończenie, chyba z zemsty, że była taka bezwolna, wpełchnął jej w sposób szczególnie okrutny w krocie wziętą ze stołu butelkę polemoniady. Po czym obaj z Ryszardem P., który już nieco się przespał, opuścili mieszkanie w poszukiwaniu dalszych przygód.

Nad ranem Ludwika P. obudziła się. Miała jeszcze tyle siły, aby się jako tako odziać i zejść, silnie krwawiąc, na ulicę, skąd, na wezwanie przechodników, zabralo ją pogotowie ratunkowe przewożąc do miejscowego szpitala. Tam, po stwierdzeniu ciała obcego w narządach rodnych kobiety przewieziono ją na chirurgię Szpitala Wojewódzkiego w Zielonej Górze, gdzie ze względu na poważne zagrożenie życia z powodu infekcji i dużego upływu krwi poddano ją natychmiastowej operacji usunięcia butelki.

Sprawcy bestialskiego gwałtu zostali szybko ujęci. W śledztwie okazało się, że dobrani kompani, wkrótce usiłovali dokonać kolejnego gwałtu na M.D. Ta także przyjęła zaproszenie na wódkę, kiedy zorientowała się, o co idzie, wyskoczyła przez okno z II piętra, doznając złamania dwu kręgow i kości promieniowej ręki. Sąd Wojewódzki Wydział Karny w Zielonej Górze wymierzył oskarżonym na rozprawie w maju ubiegłego roku wieloletnie kary więzienia.

A. WIEŃSKI

Spiewajcie mądrze

Dokończenie ze str. 7

czeń. Wtedy, gdy inni bawią się i odpoczywają, ja pracuję — w niedzielę i wszystkie święta. Muszę być dyspozycyjny, ponieważ moim obowiązkiem jest dawać oprawę muzyczną uroczystościom kościelnym i nabożeństwom. Muszę mieć jeszcze czas na przemyslenie repertuaru i próby chóru.

● Muzyka kościelna jest jednym ze skarbów kultury narodowej. Mówiąc pompatycznie, Pan jest jednym z tych, którzy tego skarbu pilnują, jednocześnie używając go ludziom.

— Konstytucja II Soboru Watykańskiego o liturgii mówi: „Czynność liturgiczna przybiera godną szą postać, gdy służba boża odbywa się ze śpiewem i czynnym udziałem wiernych. Śpiew kościelny związany ze słowami jest nieodzowną i integralną częścią uroczystej liturgii. Z największą trosliwością należy zachowywać i odczuwać opieką skarbiec muzyki kościelnej. Popierać zespoły śpiewacze... Troskliwie pielęgnować religijny śpiew ludowy...”. Od siebie dodam, że śpiewy mszalne przyczyniają się do bardziej czynnego i owocnego udziału wiernych w tajemnicy dwóch stołów: słowa czyli ambony, i ofiary czyli ołtarza. Posoborowa liturgia, przez wprowadzenie języka narodowego, bardzo ubogaciła życie religijne i ułatwiła ludziom udział w świętych obrzędach.

● Co znaczy „być organistą”?

— Grać na organach — jest to najtrudniejszy sposób instrumentów. Umieć prezentować fragmenty wielkich dzieł skomponowanych dla kościoła. Prowadzić chór i ustawiać go w taki sposób, by brał czynny udział w życiu parafii. Śpiewaliśmy podczas wmurowania kamienia węgielnego pod kościół na Osiedlu Pomorskim... Śpiewamy koledy w Domach Zbawicieli i Rencisty... Być organistą, znaczy kochać muzykę kościelną, rozumieć ją i czuć. Organista, to nie tylko zawód. To także powołanie.

● Kościół Najśw. Zbawiciela promieniuje kulturą muzyczną. Jest w tym również i Pański udział. Dziękuję za rozmowę.

HALINA ANSKA

Polacy w RFN

Ciąg dalszy ze str. 10

(W związku z tym przypominam mi się następujący fakt. Podczas pobytu w Hamburgu w 1987 r. zobaczyłem na jednym z domów wywieszkę, że tu udziela się porad Polakom pragnącym uzyskać prawo pobytu w RFN. Pracówkę tę prowadził Niemiecki Czerwony Krzyż. Z ciekawości dziennikarskiej wstąpiłem tam i przeprowadziłem interesującą rozmowę z niemieckim urzędnikiem. Powiedział mi, że w ciągu tego jednego tylko dnia już 4 petentów — Polaków, którzy w ten sposób próbowali udowodnić swoją niemieckość, iż powoływali się na to, że ktoś z rodziny służył w SS. Jako „dowód” przytaczali, że mieli oni pod pachą wytatuowaną grupę krwi. Urzędnik śmiał się tylko z tego, słusznie stwierdzając, że dowiedzieć się o tym mogli łatwo z książek i filmów — M.H.).

W praktyce — stwierdza wspomniany już dokument Dortmundzkiego Wydziału Socjalnego — „to my musimy udowadniać napływającym Polakom, że nie są niemieckiego pochodzenia”. A przecież ciężar przez „adzenia dowodu na tę okoliczność na nich powinien spoczywać. Równocześnie wszystkie władze: krajowe, miejskie i gminne kategoryzują nie domagają się aby zrezygnowano z absurdu dalnej tezy, że przybywające z Polski osoby są jako Niemcy poddawane w Polsce represjom, co zmusza je rzekomo do szukania schronienia w RFN! Trzymając się tej fikcji prawnej idzie się tylko na rękę organizacjom ziomkowskim, które czekają wciąż na rzekomo wypędzanych z Polski Niemców. Tak mogło się naprawdę zdarzać ale tylko w minionej epoce.

(Rzeczywiście, tego rodzaju postępowanie miało miejsce, ale bynajmniej nie wobec etnicznych Niemców, lecz wobec ponad 100 tys. Warmiaków i Mazurów, — w okresie międzywojennym, manifestujących często bohatersko swą polskość, których po 1945 r. różnego rodzaju represjami i szykanami zmuszono do wyjazdu z Polski. Na terenie opuszczonych

przez nich obszarów utworzono, np. w okolicach Łańska, 70-tysięczno hektarowy rezerwat przeznaczony do polowań promienackich. Pozostałe po nich gospodarstwa oddawane były ministrom, podsekretarzom stanu, wojewodom i sekretarzom na dache po symbolicznej cenie, znacznie niższej od tej, jaką płacono wyjeżdżającym za pozostawione mienie — M.H.).

W związku z powyższą sytuacją coraz powszechniejsze staje się żądanie wysuwane wobec władz bońskich, aby przy przyjmowaniu Polaków nie kierować się przestarzałymi, niedorzecznymi przepisami o przyznawaniu „niemieckości”. Udowodnienie, że jest się osobą pochodzenia niemieckiego, powinno spoczywać na petencie. Takie postawienie sprawy zamknie wreszcie napływającym Polakom możliwość uzyskania prawa pobytu w RFN. Na tej podstawie, iż są rzekomo Niemcami lub osobami niemieckiego pochodzenia. Obecna sytuacja w tej dziedzinie czyni tylko złą krew.

Wybrał, przetłumaczył i opracował
MICHAŁ HOROWICZ

Pociąg w monotonnym rytmie pędził w ciemność. Mężczyzna siedział naprzeciw mnie. Sprawiał wrażenie zwykłego, przeciętnego człowieka. Jakich wielu spotyka się w pociągu tramwaju, na ulicy. Ot, taki sobie podtatusiały pan o wysokim czole i dość pokazanej posturze. Duszna pogoda, niechybnie zwiastująca deszcz, sprawiała, że w przedziale było sennie i niemrawo. Za dwa dni szykowało mi się kolokwium z prawa rzymskiego, wyjąłem więc podręcznik i wytrwale pochłaniałem kartkę po kartce, gdy usłyszałem jego głos.

— Jest pan studentem? To piękne lata, jedne z najpiękniejszych w życiu. Chociaż jeszcze kiedy ja studiowałem, warunki były o wiele cięższe. Nie to, co teraz. Stypendia

wdzięczny całe życie ojcu, najdroższemu mi człowiekowi. Ojcu, który faktycznie ojcem moim nie był...

Przyjechał na ziemię odzyskaną w jednej z pierwszych grup repatriantów. Był maj 1945. Zajął mieszkanie w małym, jednorodzinny domku na skraju miasteczka. Podjął pracę na kolei, był z zawodu ślusarzem. Powoli przyzwyczajał się do samotności, na jaką skazał go jeden z nałotów jeszcze tam, na kresach, kiedy to zginęła jego żona i dziecko. Nie myślał o powtórny ożenku, gdy znajomkowie zaczęli mu swatać młodą wdowę z dwójkiem małych dzieci, której mąż poległ na wojnie.

— To dobra kobieta i z naszych stron — mówili. — Nie będziesz

Było akurat lato, Karolek skończył piątą, a Wiesia drugą klasę, kiedy żona otrzymała skierowanie do sanatorium. Całą trójkę odprowadził ją na dworzec solennie obiecując, że niecierpliwie będą oczekiwać jej powrotu. Na kilka dni przed przewidzianym powrotem żony otrzymał z Zakopanego list: „Nie wrócę już do ciebie. Spotkałam mężczyznę, o jakim marzyłam. Dzieci zostaw sobie, albo oddaj do przytulku. Maria”.

Pojechał do Zakopanego. Prosił, zaklinania na nie się zdążył. Wrócił zrozpaczony i rozbity. Powiedział małcom prawdę. Mama nie przyjeździe już nigdy.

— I co ja z wami zrobię? — zastanawiał się głośno.

— Tatusiu kochany, nie oddawaj nas do przytulku — zanosili się od płaczu dzieci.

Nie oddał. Roboty miał teraz co niemiara. Po pracy w warsztacie czekało go jeszcze gotowanie, pranie i dziesiątki innych czynności.

Minęły dalsze lata. Karol skończył technikum, wyjechał na studia. Wiesia chodziła do liceum ekonomicznego. Był szczęśliwy, że tak dobrze się jego dzieciaki ucą. Córka, po lekcjach, jak najlepsza gospodyni prowadziła dom.

Po skończeniu politechniki syn wrócił do miasteczka, otrzymał dobrą pracę, ożenił się. Wiesia w tym samym zakładzie została ekonomistką.

Był już na emeryturze, większość czasu spędzał w ogródku. To grządkę poplewił, to pomidory podlał, po czym siadywał na ławeczce i rozmyślał.

Siedział kiedyś wieczorem ze swoimi, drogimi mu istotami przed telewizorem, gdy u drzwi rozległ się dzwonek. Zerwał się z miejsca, ale Karol go powstrzymał. Sam wyszedł na próg i oniemiał.

— Karolku, jak ty wyrosłeś. Gdzie Wiesia?

Czas zaciera w ludzkiej pamięci wiele zdarzeń, ale twarzy, oczu matki utrwalonych w dzieciństwie nie zapomina się nigdy. Wzruszenie, jakie go ogarnęło, sflumił jednak na tłok myśli. „Matko, dlaczego przychodzisz dopiero teraz? Gdzie byłaś, gdy nam tak ciężko było bez ciebie?”.

— My pani nie znamy.

Kobieta jakby skuliła się. Odeszła bez słowa.

— Kto tam był, Karolku?

— Wiesz, tatusiu, to była nasza matka. Powiedziałem, że jej nie znamy.

Po dwóch dniach nadszedł telegram. „Obywatelka ... popełniła samobójstwo. Pogrzeb dnia... Władze miasta Zakopane”.

Wagon kołysał się w rytm uderzeń kół o złącza szyn. Za oknem pobłyskiwały dalekie światła.

Emocje wokół mieszkań

Rozpoczęta pod koniec grudnia akcja spłacania kredytów mieszkaniowych trwa do dziś. W spółdzielni „Kisielin” 450 lokatorów zmieniło prawo do zajmowanego „M” z lokatorskiego na własnościowe. W styczniu natomiast 100 osób złożyło wnioski o jednorazową spłatę całego kredytu mieszkaniowego, nie zmieniając przy tym prawa do zajmowanego lokalu. Wiąże się to z umorzeniem 40 procent zaciągniętego kredytu na budowę. W ten sposób można uwalnić się od spłacania odsetek. W przypadku mieszkań oddanych w 1985 roku wyniosą one miesięcznie około 60 do 80 tys. zł, w zależności od zajmowanej powierzchni.

Spółdzielnia „Kisielin” oddała pod koniec ubiegłego roku dwa bloki należące do Osiedla Śląskie go. Czynniki mieszkaniowy wraz ze spłatą kredytu i odsetek wyniesie w styczniu za M-4 (64 m kw 207 tys. zł. Natomiast za M-3 — 164 tys. zł (w tym spłata kredytu — 73 tys. zł.).

Od kwietnia przewiduje się nowe zasady kredytowania budownictwa mieszkaniowego. Projektowane zmiany dotyczyć mają, między innymi, sposobu zaciągania kredytu. Dotychczas robiła to spółdzielnia za swoich członków. Według nowych zasad czynić to mają sami członkowie, przy czym kredytem będzie objętych 15 metrów kwadratowych na osobę. Przykładowo czteroosobowa rodzina na skredytowane będzie mogła mieć 60 m kw, czyli M-4. Jeśli będzie zabiegała o większy metraż, wówczas koszt do dodatkowej powierzchni zmuszona będzie pokryć sama, bez pomocy banku. Kolejną zmianą będzie cena za metr kw mieszkania. Dziś wynosi ona 400 tys. zł, a planuje się (od 1 kwietnia) 1 mln zł. Zwiększeniu ulegnie również zaliczka na wkład budowlany. Dotychczas wynosiła 10 procent kosztów mieszkania, a zapowiada się wzrost do 30 proc. Nietrudno wyliczyć, że wkład finansowy na 50 m kw mieszkania wyniesie 15 mln zł (!).

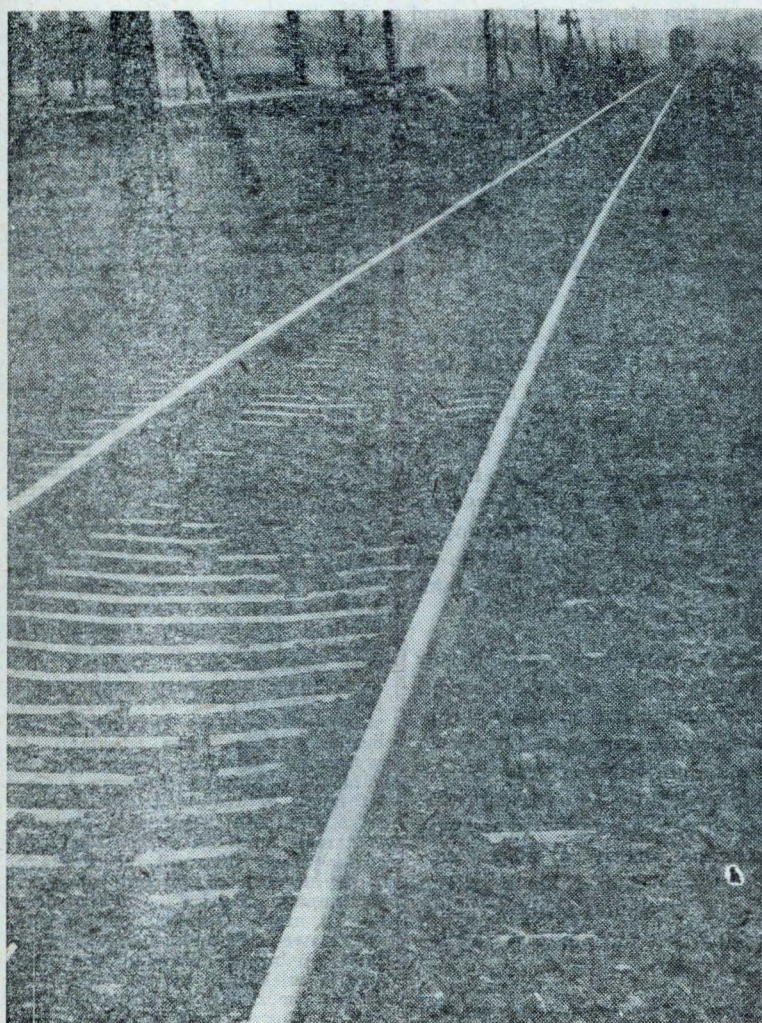
W SM „Kisielin” do przełomowej daty 1 kwietnia mieszkanie otrzyma (po dzisiejszych cenach) 25 osób. Są to członkowie spółdzielni od 1975 roku.

Wiele emocji narosło wokół listy przyspieszeń, a więc kolejki po mieszkanie „z drugiej strony”. Jak nas poinformował z-ca prezesa spółdzielni — Henryk Skrzypczak, społeczna komisja pracuje nadal, nie wiadomo jednak czym się to zakończy. Rada Nadzorcza spółdzielni w lutym podejmie decyzję: honorować listę przyspieszeń, czy też nie.

KRZYSZTOF MAZUR

K. HALICKA

My pani nie znamy...



Fot. BRONISŁAW BUGIEL

też były bardzo niskie. Trzeba było mocno zaciskać pas, by dociągnąć do końca miesiąca. Miałem, na roku koleżankę. U niej w domu mieli psa. Wielkiego, rasowego psa. Widziałem, jak cała rodzina wokół niego skakała. Spytałem kiedyś, ile kosztuje jego miesięczne utrzymanie. Okazało się, że 300 złotych. Moje stypendium wynosiło wówczas 600. Ale, wie pan, może dlatego, że niełatwo zdobywało się wykształcenie — teraz tak mocno pamiętam tamte lata. Czy nie otrzymałem pomocy z domu? Może do stałbym czasem trochę pieniędzy, ale nie chciałem. Nie chciałem jeszcze bardziej obarczać ojca. Zarobki miał skromne, a w domu była młodsza siostra, uczennica. I tak, będę

przecież całe życie opłakiwał tego, co już nie wróci, a tak — jej będzie łatwiej i tobie.

Zaraz po skromnym ślubie sprawa działa się do niego z dziećmi. Początkowo wszystko układało się dobrze. Polubił dzieci, a i Wiesia, i Karolek mocno przywiązały się do ojczyma. Pracował za dwóch, często po godzinach, żeby w domu niczego nie brakowało. Mijały lata. Dzieci poszły do szkoły. Uczyli się dobrze, więc nawet kłótnie ze strony żony, która coraz częściej zaczęła wymawiać mu, że jest od niej o dwanaście lat starszy, nie były w stanie zmącić jego zadowolenia z domowego ogniska.

DZIECI KOSMOSU

Patrząc w nocne, rozgwieżdżone niebo człowiek pokornieje. Jakiż to bezmiar! Jak mała jest, zawieszona w tej nieobjętej ludzkim rozumem przestrzeni, planeta Ziemia! Jaka drobina jest istota ludzka! Wreszcie — ileż to istnień ludzkich przeminęło, odkąd ten, wciąż nieodgadniony i niepoznany do końca świat, trwa w swym przerażającym i zachwycającym zarazem, bezruchu!

Ale bezruch jest pozorny! Od dawna już to wie dociekliwa, ludzka nauka. Ciała niebieskie poruszają się, krążą, wędrują, czasem są bliżej, czasem dalej od planety Ziemi — lub Ziemia od nich. Płyną od nich fluidy, które stymulują nasze działania. Każdy człowiek ma na Zodiaku swego anioła-stróża: własny znak, który mu patronuje wspólnie z jedną z planet i jednym z czterech Zwiolów.

Dzisiejszy odcinek niechaj przeczytają...



PANIE SPOD ZNAKU
KOZIOROŻCA

Jeśli dzień Twego przyjścia na świat przypadł w okresie między 22 grudnia, a 21 stycznia, Twoim znakiem na Zodiaku jest Koziorożec, który pozostaje w ścisłym związku z planetą Saturn oraz, wspólnie ze znakami: Byka i Panny, tworzy Trygon Ziemski.

Jesteś konkretna, odpowiedzialna i wytrwała. „Ten uparty Koziorożec” — powie o Tobie ktoś, kto zetknął się z Twoją niezłomnością, a czasem nawet — nieprzejednaniem, (które do głosu dochodzi rzadko, na szczęście, bo nie jest cechą miłą). Posądzanie Cię o upór nie jest w pełni zasadne. Masz w sobie bowiem bardzo dużo fantazji i tolerancji. Zamiast utarczek i wojen, wolisz kompromisy. Nie jesteś uparta, lecz — jak powiedziałam — niezłomna, i to przeważnie tylko w postanowieniach generalnie ważnych.

Chciałabyś mieć wokół siebie wszystko dobrze zorganizowane, trafnie ocenione, zgodnie i harmonijnie osadzone w otaczających Cię realiach. Zazwyczaj tak też jest. Ale bywa, że padasz ofiarą własnej lojalności i stałości przekonań i uczuć. Planujesz coś, dążysz do czegoś, coś ważnego realizujesz. I wierzysz w kogoś — bądź w coś, będąc przekonana, że ta osoba — te osoby, te struktury społeczne, są niezłomne i wytrwałe, jak Ty.

Tymczasem ludzie, którym zaufałaś, załamują się, dezorganizują, rozpraszają, zaprzeczają myśli, programy, własności. W ten sposób giną również i Twoje plany, osiągnięcia i własności, a Tę dobrego cechy obracają się przeciwko Tobie.

Co wtedy robi typowy Koziorożec? Zawsze to samo. Od nowa planuje, mierzy, waży, buduje i wspina się po stromej skale. Je-

żeli nic poważnego mu nie przeszkodzi, osiąga sam szczyt. Jest bowiem silny psychicznie i fizycznie — wytrzymały.

Masz w sobie pragnienie władzy. W kontaktach z osobami słabszymi od siebie stajesz się bezwzględną dyktatorką, apodyktyczną żoną, surową matką. Nadmierne ambicje poparta dobrą, systematyczną pracą wynosi Cię ponad przeciętność. Spod znaku Koziorożca wywodzi się wielu ludzi wielkich sławnych i twórczych — wodzów, pisarzy, artystów.

Patronat planety Saturn znacząco bardzo wiele. Znak Koziorożca skłania Cię do ekspansji, pięcia się w górę, zdobywania wiedzy, poszerzania horyzontów, podróży, znajomości i sprawdzania się w kilku dziedzinach równocześnie. Saturn te dążenia hamuje i rozsądnie nie sprowadza na jeden kierunek. Jeśli posłuchasz takiego wewnętrznego głosu, możesz osiągnąć wysoką specjalizację w wybranej dziedzinie, np. zostać znakomitą aktorką. Albo wspaniałą żoną, panią domu i matką, która wychowuje dzieci, kształci je i im przekazuje swe ambicje. Albo wspiera męża dążącego do kariery.

Saturn skłania Cię także do trzeźwego spojrzenia na tzw. sprawy pałace, niecierpiące zwłoki. Wzmacnia dyscyplinę, punktualność i metodyczność. Jednocześnie jednak wzbudza melancholię, zmęczenie i pesymizm. Czasem też wpływ Saturna (z przyczyn złożonych, których rozważanie zabierałoby wiele miejsca) może być bardzo negatywny i powodować w ko bietach oziębłość, nawet zanikanie uczuć ludzkich.

Pozostaje teraz omówić Twoją przynależność do Trygonu Ziemskiego. Są, jak powiedziałam, cztery Trygony. Powietrzny, Wodny, Ognisty i Ziemski. Ten ostatni wydaje się podstawowym i najbardziej stabilnym. Trudno bowiem wyobrazić sobie jakąkolwiek egzystencję bez ziemi. Powietrze, woda i ogień w okolicznościach skrajnych, a takie zdarzają się niestety często, wyrządzają szkody człowiekowi i przyrodzie.

Takich szkód nie wyrządza nigdy ziemia — poza przypadkami reakcji wulkanicznych i erozyjnych, jak wiadomo — niezmiernie rzadkich. Przeciwnie, ziemia jest dobrodziejką, żywicielką, matką.

Ojczyzną. Stąd wywodzi się stabilność, wytrwałość, pewność i spokój trzech znaków ziemskich: Byka, Panny i Koziorożca.

Wszystkie kobiety „ziemskie” są zazwyczaj konsekwentnymi realistkami, umiającymi regulować swe fantazje i zachcianki. Te spod znaku Byka cenią sobie przede wszystkim własność i całe życie do niej dążą. Te spod znaku Panny są krytyczne wobec siebie i świata, skrupulatne, metodyczne i świetnie zorganizowane, kierujące się mniej uczuciem, więcej rozumem. Natomiast kobiety — Koziorożce wykazują duże zdolności organizacyjne w budowaniu struktur, systemów i układów, także sojuszy, związków i rodzin. Cechuje je „trzymanie się ziemi” lub „chodzenie po ziemi”. W sytuacjach trudnych i nagłych potrafią zachować opanowanie i zimną krew. Są przytomne, kompetentne, umieją dobrze się wysłować i zreferować temat. Z czasem, w późniejszym wieku przekształcają się niekiedy w konserwatystki niechętnie każdej nowości.

Dla Koziorożca miłość jest bardzo ważną sferą. Kobiety spod znaku kochają mocno i gorąco. Są stałe. Ale czy także wierne? No, przyznaj się... Jesteś kobietą aktywną, nieustannie trzymasz coś na celowniku, wciąż biegasz, zdobywasz, poznajesz. Pozostając stała w uczuciach, lubisz sobie zmieniać doznania. Pragniesz coraz czegoś nowego. Kochasz i zdradzasz, taka jesteś!

„Z kim tak ci będzie źle, jak ze mną, przez kogo stracisz tyle szans każdego dnia” — mówi piosenka. Warto pomyśleć, z kim Ci może być źle, a z kim dobrze. Rzecz pewna, że panie spod znaków ziemskich powinny łączyć się z panami spod znaków wodnych (Rak, Skorpion i Ryby). Cóż to za cudowna współzależność! Jaka wspaniała symbioza!

Ziemia potrzebuje wody, by wydać plon. Woda potrzebuje ziemi, by nie zostać bezsensownym rozlewiskiem. Ziemia przy udziale wody rodzi nowe. Woda przy udziale ziemi kształtuje się i samookreśla. Obie strony zgodnie wyważają wzajemne relacje. A więc związek pani — Koziorożca z panem Rakiem, Skorpionem lub Rybami, z reguły jest harmonijny i szczęśliwy.

Nienajgorsze szanse współzycia mają Koziorożce z osobami spod znaków powietrznych: Bliźnięt, Wagi i Wodnika. Natomiast odradzam Ci wchodzenie w jakiegokolwiek stałe układy z panami spod znaków ognistych (Baran, Lew, Strzelec) i w żadnym wypadku z kimś „ziemskim” — jak Byk, Panna i Koziorożec.

Następnym odcinkiem dla panów — Koziorożców, kończymy cykl „Dzieci Kosmosu”. Do spotkań za tydzień.

EWA FOSS

Camera Filatelistica

Listy inflacyjne

Dla każdej administracji pocztowej inflacja powoduje niekończące się pasmo ciężarów i zaburzeń ekonomicznych, zaś dla zbieraczy istny raj przesyłek, na których aż roi się od kolorowych znaczków. Listy inflacyjne z okresu po I wojnie światowej stanowią dzisiaj przedmiot poszukiwań każdego wytrawnego zbieracza i są coraz to wyżej wyceniane. Podobnie będzie za kilkanaście lat z współczesnymi, polskimi listami inflacyjnymi.

Brak znaczków w większości urzędów pocztowych zmusił dyrekcję do praktyk stosowanych w okresie przedznaczkowym, kiedy to na listach stosowano odręczne adnotacje „Opłacono gotówką” i wpisywano wysokość pobranej opłaty. Takie listy pojawiły się w naszych obu województwach w grudniu 1989 r., przede wszystkim w okresie nasilonego obrotu pocztowego przed świętami Bożego Narodzenia. Tych bezznaczkowych listów nie należy niszczyć, a przeciwnie gromadzić je jako wartościowy materiał filatelistyczny.

Aby ułatwić pracę pocztowcom dyrekcje wojewódzkie zamówiły i dostarczyły do urzędów pocztowych specjalne stempelki kaucukowe z napisem „Taxe per cue” (Opłacono gotówką), w których wpisywano wysokości dokonanej opłaty. Stempelki te w województwie zielonogórskim występują w trzech kolorach (czerwony, fioletowy i czarny) najczęściej używanego tuszu. W ramach o wymiarach 46 x 25 mm znajdują się napisy: „Polska” i „Taxe per cue” oraz na dole „Opłata... zł”. Dodatkowo stosowano inne stempelki kaucukowe. Dwuwierszowe stempelki „Opłata pocztowa/ pobrana gotówką” bez adnotacji o wysokości pobranej opłaty. Znane odbitki w kolorze czarnym i fioletowym. W województwie gorzowskim stempelki występują również w trzech barwach tuszu. Pierwsze różnią się wymiarami. W ramach o wymiarach 23 x 15 mm znajdują się napisy: „Polska”, „Taxe per cue” i „Opłata... zł”. Dwuwierszowe stempelki „Opłata pocztowa/ pobrana gotówką” nie wykazują większych różnic. Niektóre urzędy pocztowe w tym województwie stosują inne stempelki np. gumowy jednowierszowy stempel „Opłacono gotówką” odbijany najczęściej w kolorze czarnym, gumowy dwuwierszowy stempel z napisem „Wyjątkowo/ Opłacono gotówką” odbijany w kolorze czarnym.

Myślę, że dobrze byłoby, gdyby dla celów badawczych wojewódzkie urzędy pocztowe przekazały zarządom okręgów PZF wszystkie odbitki stosowanych w 1989 r. i następnych latach stempelków potwierdzających dokonanie opłaty gotówką wraz z adnotacją dotyczącą daty wprowadzenia stempelka do obiegu (przekazania urzędowi pocztowemu).

M. Sławomir

30. I – WTOREK

PROGRAM I

- 9.10 „Domowe przedszkole”
9.35 Teleferie TDC „Kulig”
10.15 Kino Teleferii: „Paziowie króla Zygmunta” (1) – s. TP
10.45 „Kir Royal – Z życia reportera kroniki towarzyskiej” (1) – „Komu się uda, ten będzie w gazecie” – s. obycz. RFN
11.45 „Domator” – Rady na życzenie
14.30 TKR – Konserwacja pasz
15.00 Powt. przed maturą: Spotkania z lit. – Poezja Młodej Polski
15.40 „Kim być?” – pr. dla 15-latków
16.20 Program dnia – Telegazeta
16.25 „Teleferie najmłodszych”
16.45 Kino Teleferii: „Przygrywka” (2) – s. TP
17.30 „Spojrzenia”
17.55 „Klinika zdrowego człowieka”
18.25 „W stronę rynku”
19.10 „Od A do Z” – „F” – jak fiskus
20.15 „Kir Royal – Z życia reportera kroniki towarzyskiej” (1) – „Komu się uda, ten będzie w gazecie” – s. obycz. prod. RFN
21.15 Sport
21.25 „Fleks” – pr. baletowy
21.55 „Sprawa dla reportera”
22.35 Dt – Echa dnia
22.55 Język rosyjski (15)

PROGRAM II

- 16.55 Język angielski (45)
17.30 „Klub ludzi z przeszłością”
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna z Kalwarii Zebrzydowskiej
18.50 Program publicystyczny
19.30 Studio Sport
20.00 „Non stop kolor” – Eric Clapton – ang. film dok.
21.05 W kręgu sztuki: „Wielec fotograficy” (3) – s. dok. prod. wł.
21.45 Studio im. K. Irzykowskiego „Życie wewnętrzne” – film prod. polskiej
23.15 Komentarz dnia

31. I – ŚRODA

PROGRAM I

- 9.10 „Domowe przedszkole”
9.35 Teleferie TDC „Kulig”
10.15 Kino Teleferii: „Paziowie króla Zygmunta” (2) – s. TP
10.45 „Dzieciocy ogród”, cz. 1 – film obycz. prod. CSRS
11.45 „Domator”
14.30 TKR – Typy i rasy świni
15.30 NURT – Rozmowy o edukacji
16.20 Program dnia – Telegazeta
16.25 Teleferie najmłodszych
16.45 Kino Teleferii: „Przygrywka” (3) – serial TP
17.30 „Sensacje XX wieku”
17.55 TV informator wydawniczy
18.15 „Dawniej niż wczoraj”
18.45 „10 minut”
19.00 Dobranoc „Wyprawa prof. Gąbki”
19.10 Oferty „Pegaza”
20.05 „Indeks” – pol. film fab., reż. Janusz Kijowski
21.40 Sport – ME w jeździe figurowej na lodzie: Program dowolny par sportowych
22.50 Dt – Echa dnia
23.05 „Plus – minus”
23.30 Język angielski (15)

PROGRAM II

- 16.55 Język francuski (3) – (powt.)
17.30 „Kultura '90” – spotkanie z wiceministrem kultury i sztuki, Michałem Jagiellą
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102”
19.00 „Pokój niżej” (4) – s. prod. ang.
19.30 „Zwierzęta wokół nas”
20.00 Przegląd PKF
20.40 „Przegląd muzyczny”
21.00 „Ze wszystkich stron” – „Mała Korea” – rep. z Syberii

- 21.45 „Przyjaciele” (5) – „Walka” – serial TP
22.55 „997” – Kronika kryminalna
23.55 Komentarz dnia

1. II – CZWARTEK

PROGRAM I

- 9.10 „Domowe przedszkole”
9.35 Teleferie TDC „Kulig”
10.15 Kino Teleferii: „Paziowie króla Zygmunta” (3) – serial TP

tydzień w TV

30 STYCZNIA – 5 LUTEGO 1990 R.

Codziennie: 17.15 – Teleexpress, 9.00, 19.30 – Wiadomości (pr. I); 21.30 – Panorama dnia (pr. II)

- 10.45 „Policjanci z Miami” (14) – s. kryminalny prod. USA
11.30 „Domator przy herbacie”
12.00 Studio Sport – ME w jeździe figurowej na lodzie (powt.)
14.30 TKR – Rozród świni
16.20 Program dnia – Telegazeta
16.25 „Teleferie najmłodszych”
16.45 Kino Teleferii: „Przygrywka” (4) – serial TP
17.30 „Patrol” – pr. woj.
17.55 „Poza rok 2000” – australijski serial dokumentalny
18.25 Magazyn katolicki
18.45 „10 minut”
19.00 Dobranoc „Dwa koszy i kurek z ratuszowej wieży”
19.10, 20.55 „Interpelacje”
20.05 „Policjanci z Miami” (1) – „Złoty trójkąt”, cz. 2 s. USA
21.35 Sport – ME w jeździe figurowej na lodzie: Program dowolny kobiet
22.45 Dt – Echa dnia
23.00 „Pegaz”
23.35 Język angielski (45)

PROGRAM II

- 16.55 Język rosyjski (15)
17.30 „Psychostudio”
18.00 Program lokalny
18.30 Program na życzenie
19.00 Studio Sport – Puchar Europy w koszykówce mężczyzn Lech Poznań – Jugoplastika Split
20.30 „Władcy i teatr”
21.00 „Ekspres reporterów”
21.45 Kino Studyjne „Dwójki” „Ul” – film fab. prod. hiszpańskiej
23.30 Komentarz dnia

2. II – PIĄTEK

PROGRAM I

- 9.10 „Domowe przedszkole”
9.35 Teleferie TDC „Kulig”
10.15 Kino Teleferii: „Paziowie króla Zygmunta” (4) – serial TP
10.45 „Dzieciocy ogród” (2), f. CSRS
11.45 „Domator”
11.55 Studio Sport – ME w jeździe figurowej na lodzie (powt.)
16.20 Program dnia – Telegazeta
16.25 „Teleferie najmłodszych”
16.45 Kino Teleferii: „Przygrywka” (5) – serial TP
17.30 „Raport”
18.00 „Tryptyk biecki”, cz. 1 – „Wilhelm” – film dok.
18.25 „Rzeczpospolita samorządna”
18.45 Weekend w „Jedynce”
19.00 Dobranoc „Węgierskie bajeczki”
19.10 „Teraz” – Tyg. gospodarczy
20.05 Zwierciadło czasu: „Sługa” – film prod. ZSRR
22.20 Sport – ME w jeździe figurowej na lodzie: Program dowolny mężczyzn

- 23.20, 0.40 Spór o jutro – Otwarte Studio
0.20 Dt – Echa dnia

PROGRAM II

- 17.30 „Wzrockowa lista przebojów”
18.00 Program lokalny
18.30 „O czym się mówi”
18.50 Program rozrywkowy
19.30 Karol Stryja dyryguje IX Symfonia Beethovena – koncert jubileuszowy

- 11.00 „Kraj za miastem”
11.30 TV koncert życzeń
12.15 Teatr dla Dzieci: „Złoty wrota” – pr. TV czechosłowackiej
13.20 „Panna dziedziczka” (33) – serial prod. brazylijskiej
15.00 Studio Sport – ME w jeździe figurowej na lodzie (pokazy mistrzów)
17.00 „Antena”
17.30 TV Teatr Rozmaitości – Aleksander Galin „Zanna”, reż. Andrzej Szymański
18.45 „Muzyczna telewizja”
19.00 Wieczorynka „Siostrzeńcy Kazora Donalda”
20.05 „Dekalog, dziewięć” – f. TP
21.10 „7 dni – Świat”
21.40 Sport
22.20 Telegazeta
22.25 Premiera po latach: „Strajk” – film A. Andrichowicza

PROGRAM II

- 9.15 „Przegląd tyg.” (dla niesłyszących)
9.50 Film dla niesłyszących „Dekalog, dziewięć” – film TP
10.50 Lokalny koncert życzeń
11.15 „Magazyn lotniczy”
11.45 „Jutro poniedziałek”
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 „100 pytań do...”
13.10 Kino Familijne: „Bajarz” (6) – „Niebój” – film prod. ang.
13.35 Maciej Niesiołowski
13.50 „Polacy” – film dok.
15.00 Podróże w czasie i przestrzeni: „Biblia a historia” (3) – ang. serial dok.
16.15 Biografie: Patricia Highsmith – film dok. prod. ang.
17.10 Studio Sport
17.30 „Bliżej świata” – TV-sat.
19.00 „Drugi obieg w pr. II”
19.30 „Galeria 37 milionów”
20.00 Studio Sport
21.00 Program rozrywkowy
21.45 „Wojna i pamięć” (23-ost.) – serial prod. USA
22.40 „Action” – film dok.
23.10 Komentarz dnia
23.15 Akademia wiersza

5. II – PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

- 13.30, 14.00 TTR – Fiz. i biol., sem. 2
14.30 TKR – Żywnienie macior
16.20 Program dnia – Telegazeta
16.25 Teleferie najmłodszych
16.45 Kino Teleferii: „Przygrywka” (6) – serial TP
17.30 „Gorące linie”
17.55 Wędrowniki dalekie i bliskie „Białe szaleństwo” – szwajcarski film dok.
18.25 „Szkoła mistrzów” – F. Bajon
18.45 „10 minut”
19.00 Dobranoc „Trzy shy”
19.10 „W Sejmie i Senacie”
20.05 Teatr Telewizji: „Władysław Terlecki „Cyklop”, reż. Izabella Cywińska
21.50 Sport
22.00 „Kontrapunkt”
22.30 Dt – Echa dnia
22.50 Język francuski (13)

PROGRAM II

- 16.55 Język angielski (16)
17.30 Antena „Dwójki”
17.45 „Ojczyzna – polszczyzna”
18.00 Program lokalny
18.30 „Zmagania o Polskę” (5) – ang. serial dok.
19.30 „Życie muzyczne”
20.00 „Auto-Moto-Fan-Klub”
20.30 „Osądźmy sami”
21.15 „Rozmowy o cierpieniu”
21.50 „Heimat” – „Autostrada” – serial prod. RFN
22.45 Komentarz dnia

♦ Redakcja nie odpowiada za zmiany w programie dokonane w ostatniej chwili przez TVP.

Tygodnik Społeczno-Kulturalny – Pismo Lubuskiego Towarzystwa Kultury. ADRES REDAKCJI: Zielona Góra pl. Bohaterów Stalingradu 13, I piętro oraz dla korespondencji 65-958 Zielona Góra skrytka pocztowa 40. Telefony: redaktor naczelny 708-35, z-ca red. naczelnego 39-13 oraz centrala 46-61 do 67 dąży telefony wewnętrzne: Feliks 0432258 REDAGUJE KOLEGIUM: Halina Aniska-Skarbek Krzysztof Holiński Janusz Konusz (red. naczelnego) Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczelnego) Wiesław Nodzyński Ryszard Rowiński oraz Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.) Korekta: Beata Bartosiewicz Sekretariat redakcji Elżbieta Waleńska WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25 65-042 Zielona Góra skrytka pocztowa 31 Centrala telefoniczna 46-61 do 67 Dyrektor naczelny Zbigniew Pietkiewicz tel. 717-95 DRUK: Drukarnia Prasowa ZWP 65-076 Zielona Góra ul. Reja 5 OGŁOSZENIA przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydaw

nictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju Ponadto sekretariat redakcji „Nadodrzecze” Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada Materiałów tekstów oraz zdjęć nie zamówionych redakcja nie zwraca W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów

PRENUMERATA: Informacji o warunkach prenumeraty udzielają Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe Zlecenie wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu i Wydawnictw 00-950 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto P.B.K. XIII Oddział Warszawa 370044-1195-139-11 Prenumerata jest droższa od prenumeraty krajowej o 100 procent Zam. 59 N-21

to tylko SPORT

lak to zmierzyć?

Tydzień temu pisaliśmy o plebiscytowym okresie, panującym obecnie w sporcie, jak zresztą każdego roku w porze karnawału. Wytłumaczyliśmy także „nasze” dziełki najlżejszych (najpopularniejszych) sportowców województwa gorzowskiego i zielonogórskiego. Oczywiście, to tylko zabawa, toteż liczę, że zostanie nam wybaczone, jeśli lista „Nadodrza” będzie się różniła od oficjalnego zestawienia laureatów w plebiscycie „GL”.

Wspominałem przy okazji o sympatycznej inicjatywie zgłoszonej przez Andrzeja Waszkiewicza. Proponuje on by przy okazji ogłoszenia wyników plebiscytu na najlepszych sportowców woj. gorzowskiego, przyznać i wręczyć honorowe wyróżnienie wspianemu człowiekowi, sportowcowi-inwalidzie z Dębna — Waldemarowi Prasnowskiemu. Inicjatywie tej ochoczo przyklasnałem, albowiem zawsze twierdziłem, że w sporcie należy wyróżniać również postawę i walory moralne wszy stkich tych, którzy w sport się bawią, nawet na nim zarabiając, jak jest w przypadku zawodowców. Niestety, medalomania i punktomania szefom sportu i wszelkim innym decydentom nie pozwala na ogół na zajmowanie się tak drobnymi, blahymi sprawami. Od lat było tak, że rozliczano ich li tylko za dorobek medalowy, a i oni sami z lubością

fetyszowali tylko tę stronę sportu.

A sport, jak życie, ma różne oblicza. Każdy, w kim drzemie jeszcze choć trochę romantyzmu, pa trzy nie tylko na wyniki, ale również na szlachetne gesty, których nigdy za wiele. I w sporcie, i w życiu Dlatego z taką przyjemnością przyklasnałem inicjatywie Andrzeja Waszkiewicza. Są bowiem takie dziedziiny sportu, w których na przekór losowi dzielnie rywalizują z pełnosprawnymi sportowcami — inwalidzi, przyjmowani przez publiczność nie mniej serdecznie niż ich w pełni zdrowi koledzy.

Sam pomysłodawca stawia w liście do „GL”, że nie jest to pomysł nowy. Podobne wyróżnienia honorowe przyznawane są od czasu do czasu przy okazji innych plebiscytów, na przykład „Prze glądu sportowego”, nie wspomina jąc już o międzynarodowych wyróżnieniach „fair play”. Co ciekawe, przy okazji plebiscytu na najlepszych sportowców woj. gorzowskiego, przez kilka lat przyznawano honorowe tytuły ludziom sportu, którzy wyróżniali się wieloma innymi zaletami, nie tylko wynikami. Wyróżnienia te przyznawał Zarząd Wojewódzki TKKF w Gorzowie, z inicjatywy działaczy tej masowej organizacji. Uchwalano w ten sposób wielu znakomych sportowców, szkoleniowców i działaczy. Wyróżnienia te, przyznawane przez barażo obiek tywne grono (nie dotyczyły wyłącznie ludzi związanych z TKKF), obstrastały w piękną tradycję i były uroczysto wręczane podczas dorocznych balów sportowych, gdy ogłaszano wyniki plebiscytów na najlepszych sportowców województwa.

Gdyby tego zwyczaju nie zaprzestano, dziś A. Waszkiewicz nie musiałby składać swojej pro pozycji. Dlaczego więc wręczanie wspomnianych wyróżnień przetrwało? Ano, dyrektor Wydziału

Sportu Urzędu Wojewódzkiego w Gorzowie — pan Michał Leśniak obrazil się, był na ZW TKKF i nie licząc się z istotą sprawy, jednoosobowo zadecydował, że na balach sportowych honorowych wyróżnień wręczać się nie będzie. Wręczono je w ostatniej edycji w 86 r. w kameralnym gronie w go ścinym klubie „Pod Filarami”. Następnej edycji już nie było, o szefem ZW TKKF został koleżka dyrektora Leśniaka — Waldemar Sokół i ten sympatyczny konkurs zlikwidował do końca. Ciekawe, jak ci dwaj panowie dzisiaj się czują?

Pisałem też, że szef gorzowskie go sportu wpadł na genialny pomysł, by w tym roku nie organi zować wojewódzkiego balu sportowego. Wręczenie nagród odbędzie się w osławionym ośrodku w Rogach, z dala od ludzi, gdzie sportowcy zostaną zawiezieni przed oblicze urzędników. Tak więc i tradycja balów sportowych została przerwana.

Na szczęście, z tej sympatycznej formy spotkania sportowców, trenerów i działaczy nie zrezygnował preżny klub sportowy — Sylon. Przed paru dniami odbył się czwarty z rzędu bal sportowy tego klubu, połączony z ogłoszeniem wyników klubowego plebiscytu. Zabawa była przednia (nadawały jej zwłaszcza ton presympatyczne koszykarki, ale i przedstawiciele innych dyscyplin nie pozostawali w tyle) i stanowiła miłą formę podziękowania ludziom sportu za całoroczny trud. Najlepszymi sportowcami „Sylonu” zostali: Zenon Burzawa, Lucyna Wierzbicka, Piotr Diakonów, Wiesław Osiecki, Sławomir Andruszkiewicz, Beata Wieczorek, Agata Bartosz, Majka Tartak, Paweł Wypisniak i Roman Bartuż, a najlepszymi trenerami: Mieczysław Bronisiewicz, Ryszard Łuczak i Krzysztof Ryś. Ukłony dla działaczy „Sylonu” z dyrektorem Markiem Polskim na czele.

KRZYSZTOF HOLYŃSKI

Kto jest u siebie w domu?

Uporczywie sączona do mózgu formułka donosząca, że oto jesteśmy we własnym domu — powoli przetrada się w obsesję. Gdzie ja mieszkam do tej pory? Formułka, powtórzona niedawno przez kol. F. (vel kol. Kierownik, Spikier, Kucharczyk i inni — czy jeszcze kiedys...?) wzbudza w moim skołatanym umyśle narastające stan lękowe i depresyjną huśtawkę nastrojów. Kol. F. zgrabnie powiązał ją z pojęciami prawa lokalowego, zwracając się do niegdyś głównego, zaś obecnie współ-lokatora, aby pomógł, a najlepiej nie przeszkadzał. Zdążył już przez 45 lat napsuć!!!

Panowie Bardini, Holubek, Ła picki, Wajda, Hanuszkiewicz (ręka mi drży) i INNI, mrużąc oczy wyszli właśnie z dusznych, reżimowych kazamatów na światło dzienne i wydają się być tym światłem olśnieni. Szerokiej publiczności znani są jedynie z podziemnych, katakumbowych produkcji, namiętnie tępionych przez System, takich jak np. „Pętle”, „Brzezina”, „Wszystko na sprzedaż”, „Wesele”, „Balladyna” w Teatrze Narodowym, „Kubus Fatalista” w Dramatycznym i dziesiątek innych. To wszystko nie ma dzisiaj znaczenia, jakby nigdy realnie nie zaistniało i było złym snem ze świata Franza Kafki. Z tym mi trzeba do psychiatry.

Wszystko zaczyna się od nowa. Panowie po sześćdziesiątce startują od zera, z białym zeszytem, ter minują wrzescie na swoim. Debiutują po raz drugi z entuzjazmem młodzieńczych objawień. Młodzieńczość ta tłumaczy wznoszące się ciągle crescendo patriotycznych deklaracji. Czy to już tak będzie zawsze? — pyta moje prze ploszone „ja”.

W tej naszej własnej, wspólnej, choć już nie dzięki Bogu (i częściowo Parli) kolektywistycznej kamienicy, zaczynam się nagle czuć jak bohater filmu „Lokator”, opętany obsesją upodobnienia się, dla stiumienia wewnętrznego niepokoju, do innych lokatorów, a w końcu do własnej eks — współlokatorki, samobójczyni. Na klatce schodowej mego spółdzielczego wieżowca idący po koleździe ksiądz, w towarzystwie dwóch dokazujących za jego plecami, wyrośniętych ministrantów, skarcił mnie wzrokiem... Wkrótce przyszedł się tłumaczyć z uporczywej absencji na mszy (żona słucha w radiu). Ja... chciał bym powiedzieć, że wprowadzić w zasadzie nie praktykuję, ale rozumiem, szanuję, doceniam, poznaję... Ba, staram się, w miarę swych grzesznych możliwości przestrzegać Dekalogu, przynajmniej od Trzeciego przykazania wzwyż. Przepraszam, czy to będzie tolerowane?

Powiadają, że już za niedługo PANOWIE (tym razem w znaczeniu, pardon, klasowym) wrócą do dworów, by odtwarzać tam te jedyną polską atmosferę Soplicowa... Gdzieś hen, wysoko unosi się duch Autora „Ferdynand”, „Pornografii”, o którego się dopominali chłostani przez MO i SB studenci, a którego dzieło obecnie obficie zalega półki. Gombrus, jakby powiedział Hamilton, na co Ci przyszło? Czy jesteś znowu u siebie w domu?

Sublokator

Oprac. STANISŁAW PATYCKI



ROZRYWKI umysłowe

KRZYŻÓWKA

Litery w środkowym oznaczonym rzędzie utworzą ostatecznie rozwiązanie.

Poziomo: 1. Stok nasypu. 4. Tłuszcioch, 8. Tuk. 11. Za plugiem. 12. Zwierzę, rzeka, pierwiastek. 13. Szloch. 14. Ojciec pierwszego lotnika. 20. Też kierownica. 21. Fragment eposu. 22. Papuga. 24. Drwina. 26. Wrzask. 29. Tetryk, żręda. 30. Rolnik. 31. Między aktami.

Pionowo: 1. Stos drewna (3 kubiki). 2. Filigran. 3. Targowy, lub apelowy. 5. Głębsza patelnia. 6. W każdej apłeczce. 7. Cykuta. 8. Lodowy ćwiek. 9. W polskiej dynastii. 10. Pierwiastek chemiczny, półprzewodnik. 15. Matecznik. 16. W monitorze. 17. Nagana, wyrzuty. 18. Przywóz z zagranicy towaru. 19. Wiersz miłosny. 23. Pomost wydłubany. 24. Odkrywca prątki gruzlicy. 25. Z nitką tańcowała. 26. Sznurek w parafinie. 27. Rzadkie imię żeńskie. 28. Krawędź.

Rozwiązanie krzyżówki (hasło) prosimy nadesłać pod adresem naszej redakcji do 12 lutego br. Na karcie pocztowej prosimy nakleić zamieszczony obok kupon. Do wylosowania będą trzy nagrody rzeczowe ufundowane przez Oddział PLL „LOT” w Zielonej Górze.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 2

Poziomo: zielarz, oponent, terapia, oczeret, szuwały, kielnia.

Pionowo: Szkot, fetor, salep, czata, pejcz, Narew, Niger, osika, zuber, radny, tytan.

Nagrody książkowe wylosowali: MARIA KURIATA z Sulechowa oraz LUDMIŁA STAWIŃSKA z Zielonej Góry. Gratulujemy.

Kupon nr 5